TYDZIEŃ

Nr 42 (66) ROK II

C

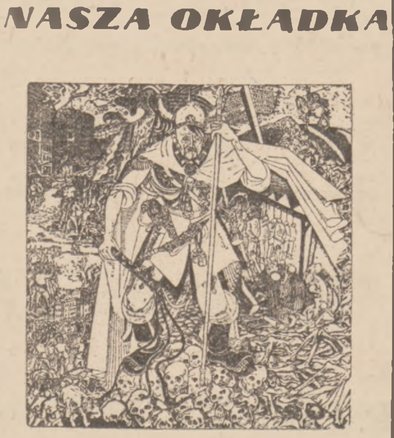
19. X. 1947

CENA 20 ZŁ



DZIŚ: Tomasz Domaniewski, Karol Malcużyński, W. Pawlak, Jan Rojewski, J. Wyszomirski, Laryssa Zajączkowska

NASZA OKŁADKA



Rys. St. Konarz

Kapitaliści amerykańscy myślą o wojnie. Czy widmo Hitlera ma znów straszyć ludzkość

Policja paryska odmawia...

SYTUACJA gospodarcza Francji pogarsza się z dnia na dzień. W Paryżu, jak donosi prasa codzienna, wybuchł strajk pracowników kolei podziemnej, co unieruchomiło komunikację w stolicy Francji. Przed kilkoma dniami odbyła się wielka manifestacja przed Ratuszem Paryskim, w której wzięło udział 10.000 starych robotników Paryża, domagających się zniżki cen i podwyżki płac. Władze administracji publicznej wydały policji rozkaz rozpędzenia manifestantów .

Policja jednak rozkazu tego nie posłuchała... Lud paryski dobrze zdaje sobie sprawę z przyczyn obecnego kryzysu i błędów polityki swego rządu...

Dziwna omyłka

W TRIEŚCIE znów wybuchły zamieszki. Przyczyną ich było dość niezwykłe posunięcie alianckich władz okupacyjnych. Mieszkańcom tego miasta, które według decyzji Narodów Zjednoczonych uznane zostało jako wolna i autonomiczna jednostka, wydano dowody osobiste. W rubryce „przynależność państwowa“ widniało jednak „Włochy“! Ludność słoweńska, zamieszkująca w znacznej liczbie to miasto, sprzeciwiła się temu gwałtownie. Jak wiadomo o Triest toczył się zawzięty spór pomiędzy Jugosławią i Włochami, w wyniku czego miasto otrzymało statut podobny nieco do statutu Gdańska w okresie między dwiema wojnami.

Angielscy spółdzielcy w obronie człowieka pracy

ANGIELSKI Związek Spółdzielczy, reprezentujący 9 milionów członków, poparł ostatnio protest Kongresu Angielskich Związków Zawodowych przeciwko decyzji rządowej, cofającej subsydia rządowe, przeznaczone do regulowania cen rynkowych na artykuły pierwszej potrzeby. Decyzja rządowa godzi w interes klasy pracującej, zwiększając niebezpieczeństwo wzrostu cen, przy tym, iż zarobki nie ulegają zwyżce.

Amerykanin udaje Greka

PREMIER grecki Sofulis ogłosił w Atenach decyzję rządu o utworzeniu Biura Handlu Zagranicznego, które ma regulować cały obrót Grecji z zagranicą. Dyrektorem tego Biura został mianowany Amerykanin, który tym samym nadzorować będzie cały import i eksport Grecji. Czyżby w Grecji, w której talenty handlowe są bardzo wśród ludności rozpowszechnione, zabrakło odpowiednich fachowców w tej dziedzinie?

Energia elektryczna z księżyca

ANGIELSKI inżynier Gibb wespół z finansistą Andersonem opracowali projekt olbrzymiej elektrowni, mającej powstać nad brzegiem morza w Anglii, przy ujściu rzeki Severne. Budowa i instalacja olbrzymich zakładów ma trwać trzy lata, koszty mają wynieść ogółem 36 milionów funtów. Z chwilą uruchomienia elektrowni Anglia zyska półtora miliarda kilowato - godzin energii rocznej.

Równa się to przeszło jednej dziesiątej ogólnej sumy energii wszystkich , maszyn parowych i elektrycznych, znajdujących się na wyspie.

Głównym silnikiem, wprawiającym w ruch olbrzymią maszynę elektryczną nad Severne, będzie księżyc, odwieczny regulator przepływu wód w morzach i oceanach. Energia, kryjąca się we wznoszeniu się i opadaniu wód, zawdzięcza swoje powstanie przyciągającej sile księżyca.

Siła przyciągania księżyca w stosunku do poruszanych przez nią mas wód oceanicznych wynosi 10 trylionów koni mechanicznych rocznie. Wystarczyłoby to na pokrycie zapotrzebowania energii elektrycznej na całej kuli ziemskiej na przeciąg 53 miliardów lat.

Kosmiczna dynamo - maszyna, jaką jest księżyc w stosunku do naszej ziemi, daje się jednak wyzyskać tylko w pewnym ułamku. Nie wszędzie bowiem ukształtowanie brzegów jest tak korzystne, jak ujście Severne. Tylko tam, gdzie różnica poziomu między przypływem a odpływem sięga 5 metrów, daje się ten ruch wód wyzyskać jako wystarczająca siła pędna dla turbin i dynamo-maszyn.

Gdy w elektrowni nad rzeką Severne zostanie wytworzona energia półtora miliarda kilowatów, to w tej części Anglii przestaną dymić kominy w miastach i osadach, niebo się oczyści z chmur sadzy, a węgiel zastąpi energia elektryczna, której pośrednim dostawcą będzie księżyc.

(F)

tak i nie

Statki – widma oceanów

NA rozległych przestrzeniach oceanów błądzą liczne statki tak zwane statki - widma. Opuszczone przez ludzi w różnych okolicznościach przewijają się one samotnie z jednego końca na drugi bezmiernych oceanów, nie mogąc znaleźć przystani. Wędrują tak nieraz przez kilkadziesiąt lat, dopóki nie zmiecie ich z powierzchni jakaś burza.

W okolicach Arktydy rybacy znaleźli taki samotny statek, który od roku 1930 błąkał się po oceanie. Ze znalezionych w kajucie kapitana papierów wynikało, iż statek, oznaczony nazwą „Baychimo“ o pojemności 1300 ton, należał do towarzystwa okrętowego Hudson-Bay-Company. W roku 1930 wypłynął na wody Oceanu Spokojnego i tu dostał się w okowy lodowe. Kapitan wraz z załogą opuścili statek i na jednej z małych oceanicznych wysepek osiedlili się, czekając na uwolnienie statku z lodów lub na przybycie innego okrętu. Pewnej nocy statek porwany burzą wyłamał się z okowów lodu i popłynął w nieznanym kierunku, błąkając się po oceanie aż do dzisiejszego dnia. Kapitana wraz z załogą wyratował inny okręt angielski i zawiózł do ojczyzny.

Taki statek - widmo pojawił się u wybrzeża Chile w Ameryce Południowej. Historia jego, odtworzona na podstawie znalezionych pamiętników, jest wprost nieprawdopodobna. Powtarzamy ją za jednym z pism angielskich.

Oto niejaki John Cook oficer królewskiej marynarki wraz z kilku towarzyszami dostali się do niewoli niemieckiej i został osadzony w jednym z obozów jenieckich w Holandii. W roku 1942 jakimś cudownym sposobem udało im się uciec z obozu i dostać do miasta portowego. Tam pod osłoną nocy dostali się na samotny, stary statek i wypłynęli na pełne morze, kierując się ku Wielkiej Brytanii. Na skutek wielkiej burzy statek został poważnie uszkodzony, tak, iż stracili zupełną orientację. Fale morskie zapędziły ich wprost w przeciwnym kierunku, na południe. Po wyczerpaniu zapasów żywności— zginęli. Statek, mimo uszkodzeń błąkał się wraz z trupami po oceanie przez kilka lat, aż wreszcie ostatnio dobił do brzegu Ameryki Południowej. (F.)

Dwa serca w jednym organiźmie

W laboratorium biologów świata wre ciągle praca. Niektórzy z nich pracują nieraz kilkanaście lat a nawet całe życie nad jednym doświadczeniem. Pracą swą stwarzają oni nowe drogi przed medycyną.

Obecnie prof. Weiss, wiedeński biolog wynalazł sposób przeszczepiania kończyn np. nóg jednego zwierzęcia drugiemu, przyczem doskonale spełniają one swe czynności.

Ponadto dr Weiss ulokował w brzuchu ropuchy drugie serce, które „zaklimatyzowało“ się pośród zwojów kiszek i żyje. Organizm więc tej ropuchy posiada dwa serca. „Nowe“ serce zachowuje własny swój rytm i bije tak, jak biło w organiźmie, z którego pochodzi.

Samodzielność drugiego serca nie jest wielka, bo w każdym swym ruchu zależy ono od właściwego serca i musi za nim przyśpieszać lub opóźniać swe bicie. Z faktu tego wynika bardzo ważna wskazówka dla biologów, że poszczególny organ dostosowuje się do organizmu, któremu został oddany.

Oczywiście, z doświadczeń tych nie wynika jeszcze, by już dziś medycyna mogła przystąpić do przeszczepiania nóg i serc — powiedzmy — u ludzi. Lecz w porównaniu z wiedzą w tym zakresie dotychczasowe doświadczenia wiedeńskiego biologa Weissa są ogromnym krokiem naprzód.

Dlaczego mężczyźni wolą blondynki

BLONDYNKI cieszyły się zawsze specjalnym uznaniem u mężczyzn. Już na początku świata stworzył Pan Bóg dobrotliwy Ewę jasnowłosą z wielkim podziwem Adama i wszystkich zwierząt zgromadzonych w raju. Czy podziw ten był długotrwały, niewiadomo! Bo złoto włosów z czasem spłowiało, a wszystkie czarujące wady naszej pra prababki pozostały niezmienione. Ale o tym historia biblijna milczy.

Od złotych włosów Heleny zapaliła się Troja, a mąż jej, król Menelaj, skądinąd całkiem przyzwoity człowiek, dostał się na dożywotnie ciężkie roboty do operetki! Ale to jeszcze nie koniec!

Piękna i tragiczna historia Tristana i Izoldy napewnoby się nie zdarzyła gdyby jaskółki — ogromnie wścibskie stworzenia — nie przyniosły złotego włosa na okno Marka, króla Kornwalii. Zaś król Marek, jak każdy stary kawaler, zawziął się i począł dowodzić, że tylko ta, a nie inna, tylko kobieta o takich włosach, może zostać jego prawowitą małżonką! Potem tego żałował, ale było już zapóźno. Powiedział jeden filozof, że jedna kobieta, z którą się człowiek ożeni, mści się za sto innych, z którymi się nikt nie ożenił! Złotowłosa Izolda nie była więc wyjątkiem.

Gdy kobiety spostrzegły, jakie nadzwyczajne wrażenie wywiera ich kolor włosów miodu lub bursztynu na płeć brzydką, powiedziały sobie: „Dlaczego ona, a nie ja“. Na wszystko jest przecież sposób! Zaczęły radzić, aż uradziły...

Piękne kobiety renesansu wysiadywały na dachach swoich wspaniałych pałaców i suszyły do słońca swoje włosy, zmyte poprzednio odwarem, sporządzonym z majowego soku orzecha włoskiego, szafranu, wołowej żółci, szarej ambry, palonych niedźwiedzich pazurów i oleju żółwiowego! Skutek był nadzwyczajny! Wszystkie Wenecjanki chodziły w glorii złotych warkoczy, a zachwycony mistrz Tycjan robił z zapałem ich konterfekty. Od tego czasu malowane włosy nazywają się „tycjanowskie“.

I tak już pozostało. Tylko mikstura się zmieniła, bo ponoć bardzo trudno jest o niedźwiedzie pazury. Ale każda brunetka może się stać dzięki sztuce kosmetycznej blondynką, o ile to jej „wybrańcowi“ serca się podoba.

Ale dziś, po drugiej wojnie światowej, kiedy akcje płci brzydkiej bardzo się podniosły, trudno nawet i blondynkom ujarzmić serce męskie. Być może, iż nasze panie, wobec braku powodzenia u przerzedzonych wojną mężczyzn będą się starały zjednać ich czym innym, nieznanym dotychczas w historii.

Mówi przysłowie, że konieczność jest potrzebą wynalazku, a bez wątpienia każdej kobiecie potrzebny jest w życiu ten drugi towarzysz.

Zresztą — zobaczymy! (F.)

Ostrze na ostrze

DLA PAŃ I DLA PANÓW

Z góry bardzo przepraszam. Naprawdę najuprzejmiej przepraszam tych wszystkich, którym felieton niniejszy wyda się nieskromnym — może wręcz wyzutym z wszelkiego poczucia przyzwoitości, po prostu — bezwstydnym.

Jeśli jednak opinia publiczna ma być lekarzem różnych naszych schorzeń społecznych, a prasa jej steteskopem — niezdrowo jest zatajać objawy tych schorzeń. Tak jak wobec lekarza odsłonić trzeba wszystko. Nawet jeśli chodzi o najbardziej wstydliwe części ciała.

Więc nie gniewajcie się i nie gorszcie. Opowiem pewną historyjkę o pewnej skromnej urzędniczce pewnej szacownej instytucji. Urzędniczka ta udała się pewnego dnia do spółdzielni pracowników wyżej wymienionej Instytucji, mającej zaspakajać w myśl intencji założycieli owej spółdzielni — wszystkie w miarę możliwości potrzeby doczesne jej członków. Kupując różne towary, urzędniczka zauważyła na półce — papier higieniczny w lepszym gatunku niż ten, który jej sprzedawczyni zaoferowała. Urzędniczka poprosiła o lepszy gatunek.

— Przepraszam obywatelkę najmocniej — odrzekła rumieniąc się sprzedawczyni — ten lepszy jest specjalnie zarezerwowany dla wyższych urzędników naszej instytucji ...

Błahy ten i śmieszny wypadek jest jeszcze jednym objawem niebezpiecznej i wielce zaraźnej choroby, tzw. „wody sodowej“, o której mówiło się zazwyczaj dotychczas, że uderza do głowy. Okazuje się, iż nie szczędzi ona także innych części ciała.

Na poparcie tego twierdzenia przypomnę opisywany już kiedyś w prasie fakt, że w pewnej równie szanownej instytucji miejsca, do których nawet królowie, w zamierzchłych czasach miłościwie panujący, piechotą chadzali — posiadają osobne, rezerwowane przedziały dla pana prezesa, panów dyrektorów i tak dalej w dół hierarchii służbowej — z pełnym jej zachowaniem i poszanowaniem.

Są to rzeczy — powtarzam — błahe i śmieszne, nie mniej jednak pomnażające rejestr szkód. wyrządzonych przez powódź wody sodowej. Szkód tych i tych wypadków nie spisaćby nawet na całej rolce tego lepszego, zarezerwowanego dla panów dyrektorów papieru. Możnaby tam pisać o przydziałach i premiach, mieszkaniach i limuzynach, czekających godzinami przed knajpami, o stosunku do pracowników i interesantów, o wielu grzechach, grzeszkach i złych obyczajach niefortunnie gorliwych czcicieli świętego Biurokracego. A możeby właśnie spróbować — tak na tej symbolicznej niejako rolce ... Taka księga zażaleń wyrażałaby dobitnie należyty despekt dla tego rodzaju antydemokratycznych praktyk i wyczynów.

Laryssa Zajączkowska

JAJKO
I CO Z TEGO WYNIKA

PEWNEGO październikowego dnia jedna z gospodyń w południowej części Londynu zgłosiła się do swojego rejonowego sklepu celem wykupienia przydziału na kartki. Przy kupnie należnego jej jako całomiesięczny przydział jajka otrzymała jeszcze jedno... drewniane. Na tym jajku widniała namalowana flaga polska z napisem „30-to milionowe jajko z Polski — to ja!" Radość londyńskiej gospodyni była ogromna. Drewniane to jajko upoważnia szczęśliwego nabywcę do odbioru w Ambasadzie Polskiej w Londynie skrzynki 360 świeżych jaj!

Zbyt wielki to skarb jednak dziś na Wyspie, by pojedyńcza osoba mogła zamknąć się z nim egoistycznie w swoim domu i oddać się rozkoszy wcinania codzień wymarzonej, tradycyjnej potrawy.. .Aby nie stać się przedmiotem zawiści i zarzutów sąsiadów — wybranka losu wspaniałomyślnym gestem ofiarowała 360 jajek jednemu ze szpitali dziecięcych.

WIADOMOŚĆ tę podało kilka dni temu radio londyńskie, zaopatrując ją w sensacyjną formę i ciepły komentarz: „historia z jajkiem podziałała niezwykle na wyobraźnię Brytyjczyków. Jest to sprawa o doniosłym znaczeniu, która zatoczy znacznie szersze kręgi..." — zwierzał się speaker aksamitnym i wzruszonym głosem.

Historia ta zapewne podziała także na wyobraźnię wielu ludzi w naszym kraju. Wiemy doskonale, ilu jest takich niedowiarków, którzy uparcie nie chcą wierzyć w istotnie ciężkie warunki życia w Wielkiej Brytanii. „Jajek nie ma! Co za nonsens! Czyżby kury nagle zastrajkowały? A z kolonii nie mogą sobie sprowadzić?!" — wołają nieraz oburzone głosy, podejrzewając naszą prasę o mijanie się z prawdą w celach „propagandowych".

JAK wygląda ta sprawa? Trudności aprowizacyjne Wielkiej Brytanii są bezsprzeczną prawdą. Wyspa nigdy nie produkowała dostatecznej ilości produktów żywnościowych, które sprowadzano z kolonii i z zagranicy. Kupowano je z dochodów, jakie przynosiły Wielkiej Brytanii: eksport towarów przemysłowych; tzw. usługi handlowe — pośrednictwo w różnych transakcjach handlowych i wykorzystywanie do tego celu floty handlowej — oraz — akcje rozmaitych przedsiębiorstw w wielu krajach.

Straty po pierwszej, a zwłaszcza po drugiej wojnie światowej, zniszczenie zarówno wielu tych przedsiębiorstw jak znacznego procentu floty brytyjskiej, pewne zahamowanie produkcji przemysłowej w Anglii, wreszcie uprzemysłowienie i rozwój ekonomicznych kolonii, które coraz bardziej usamodzielniają się—wszystko to zachwiało równowagę gospodarczą Wyspy. Ratunkiem miała być pożyczka amerykańska. Tymczasem stała się ona jeszcze jedną dodatkową przyczyną trudności, ograniczając swobodę decyzji Wielkiej Brytanii w dziedzinie handlu zagranicznego, w dziedzinie produkcji przemysłowej wewnątrz kraju.

Teraz Brytyjczycy, żeby ratować sytuację, żeby przetrwać obecny kryzys, spowodowany bezpośrednim brakiem waluty obcej na zakup żywności — muszą zaciskać pasa. Cały wysiłek produkcji krajowej — przekraczającej w niektórych działach stan przedwojenny — skierowany jest na eksport. Brytyjczycy wyrzekać się muszą wielu rzeczy koniecznych, wielu rzeczy codziennych, wielu rzeczy do których przyzwyczaili się od wieków, choćby nawet tradycyjnego jajka z boczkiem na śniadanie — lecz rozumieją cel i potrzebę tego wyrzeczenia i godzą się z tym.

DOBRZE byłoby, aby podobne zrozumienie udzieliło się niektórym malkontentom, protestującym gwałtownie przeciwko temu, że Polska wywozi za granicę węgiel, wyroby przemysłowe i artykuły żywnościowe, mimo iż nasze zapotrzebowanie wewnętrzne na nie dalekie jest od pełnego zaspokojenia.

Ludzie ci nie rozumieją, jak wiele sprowadzać musimy do kraju surowców i towarów, aby utrzymać w biegu nasz przemysł, dający możność pracy i zarobku milionowym rzeszom ludzi, aby odbudować zniszczenia wojenne, aby stopniowo podnieść stopę życiową ludności miast i wsi. Nasz przywóz z zagranicy musi zaspokoić trzy potrzeby główne: wyżywienie ludności, któremu nie może jeszcze podołać nasze rolnictwo, zaopatrzyć przemysł w surowce celem utrzymania produkcji bieżącej oraz — przyczynić się do inwestycji, koniecznych dla dalszego rozwoju tego przemysłu.

Aby te niecierpiące zwłoki zadania, stojące przed naszym importem mogły być wykonane, musimy choćby częściowo oprzeć nasz przywóz na wymianie handlowej, na równoczesnym eksportowaniu towarów poszukiwanych na rynkach zagranicznych.

TAKI jest — bardzo pobieżny i ogólny — szkic zagadnień naszego eksportu. Zagadnienie jest nieco podobne do założenia jakim kieruje się Wielka Brytania w swych pociągnięciach gospodarczych. O tyle istnieje między tymi dwoma krajami różnica — i to znaczna, — że handel nasz, nieuzależniony od dyktanda amerykańskiego wierzyciela, ma większą swobodę ruchu, swobodę wyboru kontrahentów, którymi są w tej chwili liczne kraje w różnych częściach świata.

Wracając do sprawy jajka, która jakkolwiek stosunkowo drobna, mimowoli naprowadza na szersze rozważania — podkreślić należy jeszcze jedną stronę tej sprawy.

Te jajka dostarczyło Wielkiej Brytanii „Społem".

HANDEL zagraniczny tej instytucji rozwija się z dnia na dzień pomyślniej, stanowiąc ważną pozycję w naszych obrotach z zagranicą. 11 proc. ogólnego obrotu z zagranicą przypada na „Społem", jedną z 22 uprawnionych do handlu zagranicznego central. 21 proc. naszego ogólnego przywozu przechodzi przez „Społem". Są to obroty bydłem, zbożem, maszynami rolniczymi itp. Wywóz przez „Społem" obejmuje artykuły i przetwory przemysłu spożywczego, często takie, które są w wysokiej mierze opłacalne, to znaczy w niczym nie uszczuplają naszej wewnętrznej konsumpcji, a bardzo są poszukiwane zagranicą. Lista tych towarów jest niezwykle urozmaicona. Nie mówiąc o jajkach, obejmuje ona wyroby wiklinowe, przetwory owocowe, zioła, grzyby, pierze, szczecinę, kminek, skórki królicze i wiele, wiele innych. Ogólny obrót sięga kwoty przeszło 3 miliardów złotych w pierwszym półroczu bieżącego roku.

Spółdzielczość polska zdobywając szerokie uznanie za jakość i terminowość dostaw zagranicznych dobrze służy sprawie naszego rozwoju gospodarczego.

Stefan Szczipaczew

* * *

Najdroższa moja, najlepsza, jedyna,
Żyjemy z dala z tęsknoty obrazem.
Na fotografię patrzę i wspominam —
Przed samą wojną zdjęliśmy się razem.

Nasz piękny język w słowa jest bogaty:
Są słowa, które wiodą w bój żołnierzy,
z którymi ręką ściskając granaty
idę po triumf, aby żyć lub nie żyć.

Lecz chociaż wojna huczy nad głowami,
zdołamy mimo najstraszniejszych losów
zachować w sercu z wielkimi słowami
imiona proste ukochanych osób.

Przełożył **K. A. Jaworski**

Tomasz Domaniewski

O PEWNYM „MACIBORKU"

KTORY SIĘ POTKNĄŁ O WŁASNY OWIJACZ

Napisałem artykuł „O duszy Gefangena"*). Poruszyłem w nim sprawę polskich jeńców wojennych, którzy od września 1939 roku siedzieli za drutami. Pozwoliłem sobie wyrazić zdanie, że ogromna większość tych ludzi to dziwacy, którzy po wyjściu z obozów nie nadawali się do normalnego życia. Zaryzykowałem twierdzenie, że długie jeszcze lata upłyną, zanim „maciborki" wyjdą zupełnie z obozów psychicznych, które ich dzielą od świata.

Starałem się, w formie możliwie dostępnej poruszyć problem niesłychanie istotny — problem Oflagu, który Niemcy rozwiązali z właściwą sobie perfidią, absolutnie izolując jeńców od świata zewnętrznego. Omówiłem ogólnikowo następstwa tego nieludzkiego rozwiązania i najcharakterystyczniejsze objawy, które nagminnie występowały u „sześciolatków".

Jako przeciwstawienie postawiłem powstańców warszawskich, którzy przebywali w obozach kilka zaledwie miesięcy i atmosferą obozową nie mogli jeszcze przesiąknąć, oraz przeprowadziłem, luźną zresztą paralelę między dwiema tymi grupami.

Zakończyłem, podpisałem i wysłałem do „Tygodnia". Wydrukowali.

Zrobił się sądny dzień...

Odezwał się p. Marek Sadzewicz i to jak...

Że niby jak powstaniec może w ogóle krytykować starych, dobrych jeńców. Że powstańcy to złodzieje i że od czasu jak przyszli do starych, dobrych Oflagów — niczego nie można było upilnować. Że oszukiwali, że łupili ze skóry naiwnych sześciolatków, że... eh, dajmy spokój wyliczaniu. Wszystkiego się dowiedziałem..

Wygrzebałem się jakoś spod potężnego kopca wymysłów, którymi mnie raczył obsypać mój Wielce Szanowny Wróg, ale wcale nie zamierzam przestać. Przeciwnie, projektuję dokładniej wyjaśnić, o co mi właściwie chodzi. Wybaczy mi tylko mój Najczcigodniejszy Przeciwnik, że nie będę stosował się do Jego tonu, ale utrzymam się raczej na płaszczyźnie rozsądnej polemiki.

Zacznijmy od nieścisłości, które — chcę wierzyć, że przez pomyłkę — wkradły się do elaboratu mojego Poważania Godnego Nieprzyjaciela.

Nie twierdziłem wcale, że: „gefangeni do normalnego życia nie powrócą już nigdy a w najlepszym razie po długich latach". Zaryzykowałem jedynie twierdzenie, że długie lata upłyną, zanim gefangeni wyjdą z obozów psychicznych, które ich dzielą od świata. Nigdy również nie okazywałem maciborkom „głębokiej litości", a jedynie „najgłębsze współczucie". Różnica duża w słowach i duża w pojęciach.

Nie o to zresztą chodzi. Mój Oburzony Nauczyciel usiłuje zasugerować zarówno mnie jak i czytelnikom, że potępiłem wszystkich sześcioletnich gefangenów, apoteozując w czambuł jednocześnie półrocznych.

Pozwolę sobie zaprzeczyć. Nie potępiałem nikogo. Wyraźnie stwierdziłem, że, wina leży nie po stronie gefangenów, a w samej metodzie, którą wobec nich stosowano i względem której byli zupełnie bezsilni. Konsekwentna sześcioletnia izolacja doprowadziła właśnie do tego, że po zakończeniu wojny polscy oficerowie wyszli z obozów w ogromnej większości nienormalni.

Musimy się zastanowić teraz nad zagadnieniem, co to jest właściwie człowiek nienormalny, gdyż mam niejasne wrażenie, że to właśnie było kluczowym słowem, które spowodowało nadczynność Tarczycy mojego Zagniewanego Pogromcy. Wydaje mi się, że osobnikiem nienormalnym śmiało można nazwać człowieka, różniącego się wyraźnie od otoczenia zachowaniem, reakcjami, postępowaniem i upodobaniami. Sądzę, że definicja ta nie będzie kością niezgody między mną a moim Dostojnym Interlokutorem i można ją będzie obrać jako punkt wyjścia do dalszej argumentacji...

Nienormalny człowiek nie musi być zaraz koniecznie warjatem, idiotą i nadawać się tylko do szpitala dla obłąkanych albo do przytułku. Podkreśliłem to dobitnie. (Trzecia szpalta, wiersz 6, 7 i 8). Oczywiście czasami trafiają się wyjątki, ale... nie, wróć. Obiecałem polemizować spokojnie...

Można się zatem chyba zgodzić, że jeżeli chodzi o tych nienormalnych gefangenów, to nie było się właściwie o co spierać.

Nie będę się również kłócił o osiągnięcia, które dokonane zostały w Oflagach w dziedzinie kultury, nauki i sztuki; najzupełniej je doceniam i pełen jestem podziwu dla tych, którzy je organizowali i prowadzili Na tle obozowego życia, były to istotnie dzieła ogromne. ale... czy takimi samymi były z punktu widzenia normalnego życia? Czy obozowe teatry, czasopisma, biblioteki, kawiarnie i koła naukowe mogły zastąpić wolność? Czy to było to samo?... Niechże się Pan zastanowi, o Katonie.

Ma Pan rację, że polskie obozy jeńców wyróżniały się spośród innych nacji kapitalną żywotnością, postawą moralną i natężeniem życia kulturalnego. Sam widziałem inne obozy i chętnie się z Panem zgodzę, ale wzamian za to bardzo proszę z kolei zgodzić się ze mną na oczywisty fakt, że porównanie dwóch obozów, w żadnym wypadku nie może być stosowane do pojęć przyjętych na zewnątrz drutów. Prawda?...

Zarzuca mi Pan, Obrażony Pomniku, zacieśnienie perspektywy przy budowaniu uogólnień. Przykro mi, ale nie ma Pan racji. Proszę się trochę uspokoić i chwilę zastanowić. Obawiam się, że dojdzie Pan do tego samego wniosku co ja, a mianowicie że ja mówię o regule, a Pan tylko o wyjątkach. Budowanie jakichkolwiek uogólnień na wyjątkach, nie prowadzi naogół do niczego..

A teraz, o Wzorze Taktu, przejdziemy do innej sprawy, bardzo dla Pana nieprzyjemnej: chodzi mi mianowicie o wielce zagadkowy problem, dlaczego broniąc jeńców sześcioletnich, całe dwie szpalty poświęcił Pan obelgom na powstańców warszawskich? Faktem jest nie do zbicia, że w szeregach powstańczych zdarzały się elementy przestępcze. Byli tacy, co kradli, byli oszuści, wyzyskiwacze i kryminaliści. Procent — jak to Pan słusznie bierze w cudzysłów — „oficerów", był nawet wysoki, ale fakt ten nie upoważnia Pana przecież Nieuleczalny Uogólniaczu, do określania wszystkich powstańców jako bandy łobuzów, brania ich w taki sam cudzysłów i kierowania zarzutów pod adresem Wy — „powstańcy"... Poza tym, jeżeli wytacza się już tak ciężkie działa, to trzeba się najpierw nauczyć z nich strzelać. Pan strzelał wymysłami, które dla meritum sprawy zupełnie nie były istotne. Argumenty. — co tu ukrywać — muszą być, jak to mówią, dorzeczne. Proszę się chwilę zastanowić, dlaczego ja na przykład nie omówiłem szczegółowo problemu pederastii w Oflagach, chociaż możnaby na ten temat wiele ciekawych rzeczy powiedzieć? Cóż?... Uważałem, że problem ten jest za mało istotny a za bardzo bolesny, żeby go można było poruszać.

*) Patrz „Tydzień" z dnia 25 września i 5 października br.

GÓRALE I KRAKOWIACY W BELWEDERZE



Delegacje górali i krakowiaków przybyły 9 bm. do Belwederu, przywożąc w darze dla Prezydenta wieniec dożynkowy, skrzynię krakowską oraz drobne upominki wyrobu ludowego.

Film TYGODNIA



W rocznicę bitwy pod Lenino odbył się uroczysty pogrzeb poety i żołnierza Lucjana Szenwalda poległego w czasie wykonania zadania bojowego w sierpniu 1944 r.



Lucjan Szenwald



Na Placu Unii Warszawiacy z zaciekawieniem oglądają modele szybowców i przy tej sposobności zasilają skarbonki Ligi Lotniczej.



Początek roku na Uniwersytecie Warszawskim. Studentki przeglądają listę nowoprzyjętych na wydział farmaceutyczny.



Fot. Film Polski

Saperzy układają w dołach na Palmirach wydobyte z gruzów miny i pociski artyleryjskie celem wysadzenia ich w powietrze.

Karol Małcużyński

KLĄTWA JANA KOZYNY

(Korespondencja własna „Tygodnia")

Praga, we wrześniu.

Siedzieliśmy z profesorem w małej winiarni nad Wełtawą. Przechodząc sam, nigdy bym prawdopodobnie tutaj nie wstąpił. Profesor znał tę knajpkę.

— Tu dostaniemy dobrego, słowackiego wina — powiedział i grzecznym, ale stanowczym ruchem skierował mnie ku drzwiom.

Wino było istotnie znakomite. Może nawet zbyt dobre. Kelner już trzykrotnie zmieniał przed nami szklane dzbanuszki. Czuliśmy mile ciepło i obawiam się poważnie, że miałem całkiem po prostu, niewykwintnie — jak by przy winie przystało — czerwone uszy.

Knajpka powoli pustoszała. Właśnie przed chwilą wynieśli się nasi hałaśliwi sąsiedzi, zostawiając na stole pięć olbrzymich kuflów, z odrobiną piwa na dnie i rozpapraną pianą na ściankach szkła.

Głowa już trochę ciążyła, ale myśli biegły żywo i rozmowa toczyła się wartko.

Rozmowa? Ejże? Po prostu profesor opowiadał.

— Historię, którą pan teraz usłyszy, opowiadałem już jednemu z pańskich kolegów, polskiemu dziennikarzowi w Warszawie, na krótko przed wrześniem 1939 roku. Czechosłowacja już była zajęta. Ja znalazłem się w Polsce. Powtarzałem mu wtedy tę opowieść. Ale brakło jeszcze zakończenia, które rozegrało się w parę miesięcy później. Panu mogę już opowiedzieć wszystko.

W kraju Chodźko, sąsiadującym z Sudetami, jest wieś Domażlice. Jedzie pan do Pilzna, radzę panu zrobić krótki wypad. To niedaleko. 60 kilometrów. Zobaczy pan śliczną okolicę, a zarazem jeden z tych rejonów Czech.

— Ale nie o to w tej chwili chodzi. Mówić chciałem o legendzie, która krąży tam od wieków, a która przed ośmioma laty, w tak niespodziewany i oryginalny sposób odżyła.

— Do XV wieku był to kraj szczęśliwy i wesoły. Stanowił on swego czasu rzadki wyjątek w ówczesnej Europie. Był to bowiem kraj wolnych chłopów. Stary przywilej królewski postanawiał, że osiedlający się tam, na pograniczu królestwa czeskiego chłopi otrzymują wolność, nie ponoszą ciężarów pańszczyźnianych. W zamian za pilnowanie granic przed napadami i rozbojami, osadnicy stawali się ludźmi wolnymi i korzystali z szeregu wyjątkowych przywilejów. Muatis mutandis — wasze Dzikie Pola i wasi kozacy.

— Po klęsce Białej Góry na wolny kraj spadła klęska niewoli. Cesarz austriacki w końcu XVII wieku rozdaje ziemię pomiędzy niemieckich magnatów. Domażlice przypadają grafowi Lammingen. Przywileje zostają zniesione, z dnia na dzień bardziej znienawidzony przez ludność Lammingen — zwany powszechnie Lominkarem, łupi swych poddanych, ile sił. Pańszczyzna, kontrybucje, gwałty. Ludność, która swobodę miała już we krwi, nie poddaje się łatwo. Burzy się. Wybucha bunt chłopski, który zatacza szerokie kręgi. Na jego czele stoi uwielbiany chłopski wódz, Jan Kozyna, bohater pieśni i podań ludowych.

— Lominkar utopił bunt we krwi. Wiedział jednak dobrze, że jego zarzewie nie wygaśnie, dopóki żyje Jan Kozyna. Dokładał też wszystkich starań, by pojmać nieuchwytnego partyzanta. Jak zwykle bohatera zgubiła zdrada tchórza. Kozyna został wreszcie schwytany i zasądzony na śmierć przez powieszenie.

Egzekucja odbywała się publicznie. Koło szafotu stały w ponurym, nienawistnym milczeniu tłumy czeskich chłopów, patrząc jak niemieccy żołdacy wiodą na stracenie tego, który stał się symbolem ich walki o wolność.

— Lominkarowi nie wystarczyło pozbycie się wroga. Nie mógł sobie odmówić płaskiej, niskiej satysfakcji. Przed samą egzekucją, w paradnym orszaku przeciągał ulicami miasteczka.

— Jan Kozyna stał na szafocie. Za chwilę pętla miała zawisnąć na jego szyi. W tej ostatniej chwili swego życia zobaczył wroga swego i wroga wolności swego narodu, wroga triumfującego, pysznego, obmierzłego.

I wtedy, na chwilę przed śmiercią, spod stóp szafotu, Jan Kozyna straszliwym głosem, wśród głuchej ciszy, rzucił klątwę:

— Lominkarze, Lominkarze! Za rok i za dzień pozywam cię przed sąd Boży!

Podanie głosi, że Lammingen zbladł śmiertelnie i natychmiast wraz z orszakiem zawrócił do zamku. Choć później usiłował sam kpić i żartować z klątwy Kozyny, jego otoczenie widziało dobrze, że pamięta o niej i że nie ma chwili spokoju. A im dzień wezwania bliższy, tym większy stawał się niepokój tyrana.

Następnego roku, w dzień po rocznicy egzekucji Kozyny, Lammingen, chcąc zagłuszyć straszliwy niepokój, wydaje na zamku huczną ucztę. Wino leje się strumieniami.

W kulminacyjnym punkcie zabawy, gdy podniecony alkoholem i ośmielony Lammingen szydził z guseł i przesądów, zjawia się duch Kozyny, by przesunąć się przez zamarłą nagle salę. Lammingen pada martwy, rażony atakiem apopleksji.

Profesor przerwał na chwilę opowiadanie, wypił ostatni łyk wina i grzecznie poprosił o nowe dzbanuszki.

— Ot, taka sobie ludowa baśń, jak wiele innych. Na jej tle osnuto nawet operę, a Alois Jirasek, nasz czeski Sienkiewicz, napisał o Janu Kozynie popularną, bardzo do dziś czytaną powieść historyczną. Nie byłoby też powodu specjalnie panu tej legendy opowiadać, gdyby nie... powtórzyła się ona. I to — jak panu mówiłem, bardzo niedawno, osiem lat temu, w tak tragicznych dla nas dniach marca 1939 roku.

Oto jeszcze podczas afery sudeckiej, w roku 1938, rejon Domażlic był dla jakichś tam granicznych względów niezwykle potrzebny Niemcom. Ponieważ był to okręg etnicznie czysto czeski, próbowali oni zorganizować starą metodą szereg prowokacji, wykryto usiłowania fałszerstw dokumentów archiwalnych, dotyczących tych rejonów itd. Niezwykle ruchliwą działalność proniemiecką rozwijała, mieszkająca na starym zamku arystokratka niemiecka, hr. Schoenbornowa. Jej prowokacyjne zachowanie się było znane w okolicy. W 1939 roku, gdy Niemcy wkraczali do Czechosłowacji, wszystko wyszło na jaw. Hrabina Schoenbornowa okazała się notoryczną agentką hitlerowską.

W dniu, gdy oddziały niemieckie zajmowały Domażlice, a promieniejąca radością hrabina przejeżdżała przez ulice miasteczka, śród tłumu padło przekleństwo.

— Za rok i za dzień pozywam cię na sąd Boży!

Popularna legenda była szczególnie żywa w tej okolicy swoich narodzin. Klątwę Jana Kozyny, rzuconą na hrabinę Schoenborn, powtórzyło tego dnia w Domażlicach wiele nienawidzących ust.

Profesor znów zrobił małą przerwę.

— To jest właśnie owa pierwsza część historii, którą przed panem usłyszał w 1939 roku, na krótko przed wybuchem wojny, pański kolega w Warszawie. Gdy ją opowiadałem, nie podejrzewałem nigdy jej zakończenia. A było ono proste...

— W rok później hrabina Schoenborn otrzymała depeszę, wzywającą ją do ciężko rannego syna, leżącego w szpitalu polowym. Pojechała. Nie wróciła więcej do Domażlic. Zachorowała na niezwykle ostre zapalenie płuc i zmarła 14 marca 1940 roku. W rok i dzień po wroczeniu Niemców do Czechosłowacji. W rok i dzień po wejściu oddziałów Wehrmachtu do Domażlic. W rok i dzień po rzuceniu na nią przez lud czeski klątwy Jana Kozyny.

Profesor skończył swoje opowiadanie. Wychylił ostatni łyk wina. Mówił jeszcze później wiele rzeczy. Z wrodzoną sobie żywością umysłu komentował legendę o Janie Kozynie i prawdę o hrabinie Schoenborn, odrzucając możliwość zbiegu okoliczności, a uważając ją za ciekawy przykład działania sugestii i psychozy.

Jedna ze znajomych, której powtarzałem już w Polsce tę historię, powiedziała mi na zakończenie:

— Brr! Nie daj Boże narazić się komuś w tamtej okolicy.

DWA SPOJRZENIA

Jan Rojewski

BRAMA BRANDENBURSKA

I PODRÓŻE MĘCZĄ

Kiedy półtora roku temu przyniosłem do „Kuźnicy" felleton, krytykujący pewne posunięcia pewnych urzędników MSZ-etu. Stefan Żółkiewski uśmiechnął się dialektycznie i powiedział pół żartem pół serio: „Czy nie zamierza pan kiedykolwiek wyjechać za granicę?" — „Nie, nie zamierzam!" — Odpowiedź moja była conajmniej oryginalna i na pozór nieszczera.

Ludzie pióra biegali w owym czasie, jak wiewiórki po leszczynie, po wszystkich piętrach MSZ-etu, gromadząc dziesiątki podpisów i pieczątek na setkach formularzy.

Najzdolniejsi wracali właśnie z pierwszych powojennych wojażów po Europie i pokazywali w „Pickwicku" licznie zgromadzonej gawiedzi intelektualnej dunhilowskie zapalniczki przywiezione z Londynu, aksamitne spodnie w prążki nabyte w Sztokholmie, lub amerykańskie wieczne pióro, którym bez napełniania można napisać trylogię Gołubiewa. Nowoczesne ołówki, płaskie puderniczki, rewolwer - zapalniczka, parasolka - laska, pomadka Maxa Factora — wszystkie te cuda wędrowały z rąk do rąk i gruntowały w umysłach pisarzy przekonanie, że z kulturą zachodu zrywać nie należy.

Mnie ta mania gromadzenia wykwintnych i wymyślnych cacek była zawsze obca. Przeczytałem gdzieś nawet, że gromadzenie takich drobiazgów świadczy o infantylizmie. Dzieci, jak stwierdzono, gromadzą wszystko. Na wet własne kupki. Prawda, że spodnie w prążki lub bez prążków sprawiłbym sobie chętnie, nie pogardziłbym także (pamiętam tę kurtkę) wspaniałą kurtką ze świńskiej skórki, ale ostatecznie nie była ta skórka warta wyprawy... aż do Sztokholmu. Kto ceni nade wszystko swoją wolność osobistą i nauczył się poza tym smakować w lekturze i myśleniu, ma dostatecznie pełne życie w swoim rodzinnym mieście. Nawet nie odwiedzając kin i nie słuchając radia.

A podróżowanie należy jeszcze ciągle do rozrywek, które o wiele bardziej niż pójście do kina, ograniczają naszą wolność. Bo pójście do kina, łącznie z kupnem biletu w Związku Zawodowym, wystawaniem w kolejce i obejrzeniem „Serenady w dolinie słońca" oddaje nas w niewolę wrogich nam ludzi zaledwie na sześć do ośmiu godzin, podczas gdy wyjazd za granicę przedłuża tę niewolę do paru miesięcy. Naprzód paromiesięczna poniewierka po urzędach, potem po obcych krajach, zajętych bez reszty swoją własną, ciężką, dolą. Nie mówiąc już o tym, że noc w natłoczonym pociągu (a takich było sporo w ciągu mojej podróży) nie różni się niczym od nocy w komisariacie. Chyba, że ktoś ma zbędne tysiące złotych na przelot „latającą trumną". A turystyka, to znaczy podróżowanie dla przyjemności nie istnieje bez owych zbędnych tysięcy. Powojenny brak pieniędzy w połączeniu z powojenną hermetycznością granic zdaje się przekreślać turystykę jako zjawisko masowe.

Można oczywiście i dzisiaj podróżować, jeżeli się umie zmysłem kupieckim uzupełniać brak dewiz, lub harcerską dyscypliną — brak elementarnych wygód. Niestety, nie jestem ani kupcem, ani harcerzem. Nigdy nie byłem nawet „wilczkiem", „zuchem", czy „druhem". Na Baden-Powella patrzyłem zawsze jak na pomylonego starszego pana, który nie wstydzi się chodzić w krótkich spodenkach. Nie pozostało mi nic innego, jak topić rozpacz z powodu nieposiadania dyscypliny harcerskiej w dowcipach o Ryszardzie Matuszewskim — moim towarzyszu podróży, który jest wzorem cnót harcerskich, i mścić się za brak zmysłu kupieckiego — krwawą satyrą na kupiectwo licznie reprezentowane na naszych szlakach dyplomatycznych. Na przykład w osobie człowieka, który twierdzi, że kiedyś zgodnie z prawdą otarł się o Dywizję Kościuszki i zręcznie wykorzystując te koligacje, handluje na trasie Warszawa — Berlin. Kupiec Kościuszki.

O mojej decyzji niewyjeżdżania z Polski, nawet na krótko, decyduje jednak sprawa trzecia, bardziej zasadnicza niż niechęć do gromadzenia drobiazgów i do znoszenia niewygód podróży. Tą sprawą trzecią jest wyjątkowa pozycja Polski i wyjątkowość spraw polskich w dzisiejszym świecie. Zwiedzenie Berlina, miasta, w którym wszystkie mocarstwa występują jak na scenie, ugruntowało mnie jeszcze mocniej w przypuszczeniu, że nasze doświadczenia ubiegłych paru lat, są dla myślących ludzi zachodniej Europy — spojrzeniem w przyszłość. Stwierdziłem nie bez dumy że my tu, w Polsce, oczywiście nie wszyscy, jaśniej chwytamy sens wielkiej rozgrywki politycznej, niż niejeden z pierwszoplanowych partnerów tej rozgrywki.

To brzmi jak paradoks, ale spieszyłem z szerokiego świata do Polski, żeby czymprędzej dowiedzieć się, co słychać na świecie. Wracałem z zachodu do Warszawy, jak z Polski przedwrześniowej do Polski dzisiejszej. W ciągu jednej doby posunąłem się naprzód o dziesięć lat.

Jeżeli ponad to uwzględnimy ogromną wagę momentu polityczno - społecznego, który dzisiaj objawia się już najbardziej nawet uporczywym mieszkańcom wieży z kości słoniowej, oraz szczególnie pouczającą wymowność tego momentu właśnie u nas w Polsce, odpowiedź moja z przed kilkunastu miesięcy nabierze, jak sądzę, cech szczerości. Umacnia tę szczerość poza tym tak ludzka sprawa, jak umiłowanie miasta rodzinnego, szczególnie, gdy miastem tym jest Warszawa. Odbudowa Warszawy jest bodaj trzecią obok lektury i myślenia pasją człowieka, który swój stosunek do turystyki, kina, radia, zawierania znajomości i picia wódki, może określić stanem chłodnego oderwania. Dlatego — najsurowsza nawet kontrola szczerości moich wypowiedzi pozwala mi stwierdzić, że gdybym nie mieszkał dzisiaj w Warszawie, to jedynym miastem, w którym pragnąłbym mieszkać — byłaby Warszawa.

Wyjazd z Warszawy był dla mnie o tyle uciążliwszy, że czynniki miarodajne przez odmowne załatwienie paszportu dla mojej żony, skazały mnie na całkowitą samotność i teoretycznie rzecz biorąc — nawet na czyny amoralne. Nie pozostało mi nic innego, jak zrezygnować z wyjazdu, co też uczyniłem. Wysoki urzędnik, któremu zakomunikowałem tę moją ostatnią wolę, ostatnią, bo po długich a ciężkich cierpieniach oczekiwania na paszport i wizę — obrzucił mnie spojrzeniem, które zawierało wszystko z wyjątkiem zaufania. Miłość do własnej żony jest w pewnych okolicznościach sprawą conajmniej podejrzaną. Już raczej strach przed żoną należało podać jako powód odmowy, co brzmi szczerzej i jest mniej transcedentalne dla pojętności żonatych urzędników.

Wyjechałem jednak, bo życie koryguje w końcu wszelkie heroiczne gesty. Trudno dłużej wytrwać w odmowie w obliczu gotowego paszportu z wizami i dewizami.

* * *

W swoim wspomnieniu o Jesieninie Maksym Gorkij przytacza anegdotę, opowiedzianą mu kiedyś przez Stefana Żeromskiego. Autentyczna, pono, przygoda wiejskiego chłopca, który zabłądził w labiryncie krakowskich ulic i mimo całodziennej wędrówki nie znalazł rogatek miasta. Zrozpaczony skoczył do Wisły w nadziei, że fale wyniosą go w końcu poza zasięg ulic i kamienic.

Nie jestem wprawdzie wiejskim chłopcem, ale kiedy znalazłem się w Berlinie zamiast w biały dzień, o północy — uczucia owego chłopca z anegdoty nie były mi obce. Naturalną, powiedziałbym wrogość Berlina spotęgowała ta pierwsza w moim życiu konfrontacja, nocą, bez żadnej możliwości skontaktowania się z kimkolwiek spośród znajomych. Już najbliższe jednak chwile na berlińskim dworcu przekonały mnie, że moje pierwsze wrażenie i postawa, którą przyjąłem, są nazbyt pochlebne dla Berlina i Berlińczyków.



— Spróbuj tylko ruszyć mój niedopałek!... ...Ja ci dam... ...całego papierosa

(Kerempuch — Zagrzeb)

NA NIEMCY

Władysław Pawlak

BERLIN PO ROKU

Zniszczone przed wojną i znużone trudnymi warunkami miasta Europy ulegają szybkim przemianom. Warszawa, którą opuszczałem kilka dni temu różniła się wielce od Warszawy 1946 roku. Inne miasta naszego kontynentu równie otwarcie odsłaniały przed oczyma podróżnych swoje dzieje swoje troski i radości.

W Berlinie jest inaczej. Nie ma co prawda już tej nerwowości, która cechowała Niemców berlińskich przed rokiem, ale za to wyczuwa się jakąś ponurą stanowczość, zręcznie przysłoniętą grubą warstwą szarzyzny. Przed rokiem, gdy przybyłem tu wprost z Norymbergi, zasypywali mnie pytaniami, nie szczędzili swoich uwag. Choć bardzo dbali o zachowanie dystansu i unikali wszystkiego co by mogło urazić cudzoziemskiego rozmówcę, zawsze wtrącali do rozmowy jakieś naiwne: „Przecież nie może tak wiecznie zostać“ lub „Coś musi się zmienić“. To „coś“ było oczywiście zależne od narodowości i osobistej postawy cudzoziemskiego rozmówcy.

Dziś trzeba Niemców wyciągać na słówka. W przeciwnym razie usłyszy się kilka zdawkowych frazesów. Przeważnie w ogóle po prostu machają ręką.

Nie badałem budżetów i nie wgłębiałem się w statystyki, ale jestem przekonany, że Berlin jest miastem, które już obecnie zarabia na siebie. Odnosi się to w równej mierze do wszystkich czterech sektorów. Przemysł tego miasta pracuje i produkuje zarówno na eksport jak i na potrzeby krajowe. Wystarczy przejść się po sklepach, przejrzeć katalogi, aby się przekonać, że marazm i chaos, które istotnie groziły całkowitym opanowaniem przemysłu należą do przeszłości.

O obliczu miasta decydują trzy czynniki: obraz zewnętrzny, rytm pracy i nastrój. Wspomnieliśmy już o najważniejszym: o pracy. Jest jej w bród, a w gazetach pojawiły się dawno niewidziane anonse o wolnych posadach w najrozmaitszych fabrykach. Prawdopodobnie w tej zwiększonej aktywności gospodarczej tkwi sedno powagi i determinacji Niemców. Z całą pewnością tutaj należy doszukiwać się źródła zmian w wyglądzie ulic. Przez rok uprzątnięto wiele gruzu i choć liczba wypalonych domów uległa tylko minimalnemu zmniejszeniu, jezdnie i chodniki są czyste jak za najlepszych dni Berlina.

Wbrew wrażeniu, jakie odniesie podróżny na pierwszy rzut oka, Berlin odbudowuje się. Prace konstrukcyjne odbywają się w spokojnym, jakby beznamiętnym rytmie i dlatego z początku oko przemyka się nad tym co istotne, aby zatrzymać się na mniej ważnym, lecz charakterystycznym dla skołatanej gospodarki Niemiec objawie: na nowych barach, kawiarniach i cukierniach. Ale zdala od głównych magistrali rozbiera się dalej domy, oczyszcza place pod przyszłe budowle, które zostaną wzniesione niewiadomo kiedy. Na całym Kurfürstenrammie, ongi jednej z najbardziej ożywionych ulic, będącej dziś główną arterią sektoru brytyjskiego, buduje się tylko jeden dom. Nie jest to żaden remont. Wznosi się całkowicie nową konstrukcję od samych fundamentów. Na tyłach Unter den Linden w sąsiedztwie dawnego Herrenklubu, który dziś jest siedzibą organizacji pisarzy „Kulturbund“, świeżo otynkowany wielopiętrowy gmach razi swoją bielą. Odcina się jaskrawo od czerwieni i szarzyzny tynków i cegieł zwalonych w pobliżu z wypalonych domów. Niewidoczni z dołu robotnicy spuszczają szerokimi rynnami gruz wprost do podstawionych na szynach wagoników. Prawie wszystko odbywa się mechanicznie. Mimo wielkiego hałasu wniesionego wokół rzekomo nadmier nego demontażu urządzeń przemysłowych i transportowych zaborczej Rzeszy, przybysz z Polski zaskoczony zostaje wszędzie istniejącym tu bogactwem sprzętu.

Na skwerach Berlina uprawiane są warzywa. Przed budynkami swego sektora, Amerykanie okopują i podlewają jarzyny, bo jak oświadczył generał Clay, Amerykanie nie chcą pozbawić Niemców nawet listka sałaty.

W Tiergarten, ogołoconym zupełnie z drzew, berlińczycy urządzili ogródki działkowe po obu stronach szerokiej alei. Początek i koniec tej drogi nosi piętno sojuszników. Flagi aliantów zachodnich powiewają obok niemieckiego pomnika, kolumny dawnych zwycięstw, czerwony sztandar panuje dumnie nad Bramą Brandenburską, a krasnoarmiejec w pozycji „spocznij“ strzeże sowieckiego pomnika zwycięstwa. Altanki i parkany ze starej blachy w pobliskich „Schrosbergärten“ i zniszczony Reichstag tworzą tło tego obrazu. Taka właśnie jest dominująca nuta Berlina, mimo lub wskutek normalizacji stosunków.

Rok temu Berlin był odbiciem klęski niemieckiej i bezsilnego buntu pokonanych, wczorajszych panów Europy. Stolica Niemiec nosiła znamiona zwycięskich armii. W ciągu ubiegłego roku wielu Anglików i Amerykanów zamieniło mundury wojskowe na stroje cywilne, wszyscy zaś sojusznicy sprowadzili swoje rodziny. Okupacja nabrała cech niewątpliwej trwałości, a Niemcy nareszcie zdali sobie sprawę, że Alianci nie zamierzają ich szybko opuścić. Nie oznacza to bynajmniej, by Herr Schulze czy Herr Mayer porzucili marzenia o możliwości przywrócenia dawnej świetności, by zależnie od usposobienia rzadziej lub częściej wzdychali na myśl o „dobrych czasach“. Ale tok myślenia został ujęty w karby i skierowany na określone tory rozumowe. Przebiegłość i wyrachowanie zajęły miejsce buntowniczych porywów.

Zbliżająca się zima rzuca swój cień na twarze berlińczyków i odsuwa wielkie problemy na drugi plan. Pamięć ubiegłego roku i jego strasznych mrozów nie zatarła się jeszcze. Wprawdzie zaopatrzenie w opał zapowiada się o wiele lepiej niż poprzedniej zimy, ale już obecnie całe dzielnice są systematycznie pozbawiane oświetlenia elektrycznego na kilka godzin dziennie. W sklepach pełno aparatów radiowych, sprzedawanych po urzędowych cenach na kartki przydziałowe w cenie od kilkudziesięciu do kilkuset marek, trzy stacje radiowe konkurują ze sobą, aby jak najszybciej poinformować i jak najlepiej zabawić berlińczyka. Gdy ma zapaść ciemność w jego mieszkaniu, gdy radio zamilknie z braku prądu, berlińczyk pobiegnie do jednego z rozlicznych kin lub kilkudziesięciu teatrów i spędzi parę godzin przyjemnie, a często nawet pożytecznie. Wyda na to mniej pieniędzy, niż na kupno świec na czarnym rynku.

Odniosłem wrażenie, że sytuacja berlińczyka w wielkim zarysie nie różni się wielce od położenia przeciętnego szarego człowieka we Francji czy Polsce. Naprawdę ciężko jest tylko tym, którzy wskutek wypadków wojennych i bombardowań zostali pozbawieni całego swego mienia.



Ostatni Niemcy opuszczają Polskę. Generalne pranie przed wyjazdem na punkcie etapowym w Legnicy

SZCZECIN NASZYM OKNEM NA ŚWIAT



Fot. Film Polski

Wojska radzieckie przekazały dalsze odcinki portu szczecińskiego władzom polskim.

NOWE KSIĄŻKI

Bek A. — Szosa Wołokołamska. Powieść obrazuje w niezwykle sugestywny sposób odcinek walk tak zwanej dywizji Panfiłowców na szosie Wołokołamskiej, przedpolu Moskwy. Przekład pod red. Okęckiego. Okładkę projektował Józef Rachwalski. Str. 308. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

Przewodnik dla rad zakładowych. Zawiera zbiór przepisów, odnoszących się do działalności rad zakładowych oraz szereg wiadomości z tą działalnością związanych. Poszczególne części. I. cele i zadania rad zakładowych. II. Prawo o radach zakładowych. III. Wytyczne pracy rad zakładowych. IV. Podstawowe wiadomości o ustawodawstwie pracy i ubezpieczeniach społ. V. O Narodowym Planie Gospodarczym. Str. 224. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

Ehrlich St. — Istota faszyzmu. Broszura w sposób zwięzły lecz wyczerpujący omawia narodziny faszyzmu, program i istotę hitleryzmu i wynikłe z realizacji tego programu konsekwencje historyczne. Wyjaśnia również na czym polega niebezpieczeństwo faszyzmu, w nawiązaniu do chwili aktualnej na widowni międzynarodowej. Str. 32. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

Kalendarz uczniowski na rok 1947 — 48. Kalendarz zawiera pięć części.

1. Kalendarz, wiadomości o rachubie czasu oraz przypomnienia ważnych rocznic i wydarzeń.

2. Wiedza o Polsce dawnej i dzisiejszej.

3. „Do młodzieży świat należy" — informacje i wiadomości o życiu organizacyjnym stowarzyszeń młodzieżowych i szkoły.

4. Zbiór najważniejszych wiadomości z różnych dziedzin nauki (literatura, historia, matematyka, astrologia, geologia, biologia, fizyka, chemia itd.) Szeroko uwzględnione są w tym dziale: technika i sport.

5. Informator. Dane o urzędach i instytucjach, szkołach, stowarzyszeniach, pismach młodzieżowych, taryfie pocztowej itd. Mapa Polski. Konkurs dla Czytelników z licznymi nagrodami). Str. 412. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

Melcer Wanda — 6 tygodni w ZSRR. Reportaże z podróży. Na Kremlu. Muzeum Lenina. Świąteczne sprawunki. Kobiety. Pałac pioniera. Robotnik u swego warsztatu. Republiki tańczą. Kukiełki Obrazcowa. Teatr artystyczny. Nad Newą. Domy kultury. W Kołchozie. Str. 172. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

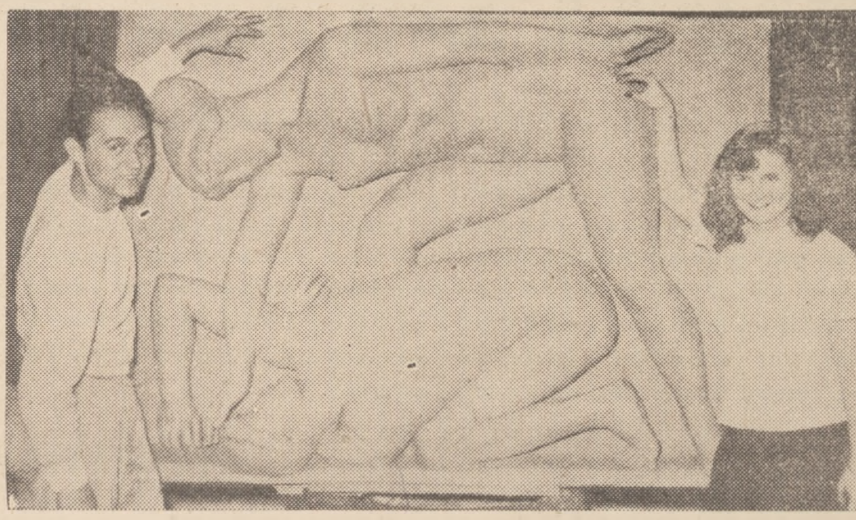
Morsztyn Jan Andrzej — Wybór Poezji. Opracował prof. St. Furmanik. Biblioteka Pisarzy Polskich i obcych pod redakcją Kazimierza Budzyka. Str. 28. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

Schaff A. — Wstęp do teorii marksizmu. Zarys materializmu dialektycznego i historycznego. Zawiera trzy części. 1) Źródła i historia marksizmu. 2) Materializm dialektyczny. 3) Materializm historyczny. Str. 312. Spółdzielnia Wydawnicza „Książka" 1947 r.

Agatha Christie — 6 pudełek zapałek. Powieść ta jest historią skomplikowanych stosunków rodzinnych i problemów miłosnych, które stają się powodem tragedii wielu osób. Przekład Tadeusza Świeściaka. Str. 223. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

Janusz Meissner — Rzeka wzbiera. Powieść dla młodzieży. Bohaterką główną tej książki jest rzeka, która pracuje dla ludzi i która niszczy ich mienie, a nawet życie. Umiejętnie opowiedziane dramaty i cuda przyrody, przygody z życia zwierząt, ptaków i owadów, a także — ludzi, którzy nad rzeką mieszkają, wreszcie poświęcenie się i odwaga lotników niosących ratunek powodzianom — składają się na bogatą, barwną treść tej książki, nie pozbawionej poza tym podłoża społecznego. Ilustracje Mariana Wyrożemskiego, okładka Janusza Brzeskiego. Str. 140. Wydawnictwo „Awir" Katowice 1947 r.

NOWOCZESNA RZEŹBA FRANCUSKA



Pierwsza nagroda na dorocznej wystawie, jej autor i model.

WSPÓŁCZESNE WAGI

Pewien piekarz z Warszawy umówił się z gospodarzem wiejskim, nazwiskiem Wójcik, że ten będzie mu dostarczał masło w osełkach dwukilowych. Przez jakiś czas wszystko było w porządku. Ale pewnego razu piekarz spostrzegł, że w osełkach zaczyna brakować masła, nie raz po ćwierć kilo, a nawet więcej. Wezwał więc sąsiadów i powiedział: — „Czekajcie, ja temu Wójcikowi pokażę, gdzie raki zimują. Ja tu pracuję uczciwie, żeby grosz zarobić, płacę mu rzetelnie, a on mnie będzie okpiwał. Nauczę ja go rozumu".

Zebrał więc piekarz świadków, przy nich ważył masło przez kilka dni, wreszcie mając już dostatecznie zebrane dowody, zaskarżył chłopa do Sądu.

Wójcik ogromnie zdziwił się tym procesem.

W Sądzie twierdził stanowczo, że jest niewinny.

Sędzia go pyta:

— Czy macie w domu wagę gospodarzu?

— A juści, że mam—odpowiada Wójcik.

— A ciężarki do ważenia macie?— zapytuje znowu Sędzia.

— Ciężarków ja tam, proszę Sądu, nijakich nie potrzebuje — mówi Wójcik.

— Jakże więc bez ciężarków ważycie masło?

Na to Wójcik:

— A no tak ważę: Odkąd pan piekarz bierze ode mnie masło, ja biorę od niego chleb w bochenkach dwukilowych, potem w domu wedle takiego bochenka masło odważam.

I ze swej strony obiecał świadków postawić, że masło sprawiedliwie odważał według bochenków chleba od piekarza.

Sprawa została odroczona, celem powołania nowych świadków, ale piekarz skargę wycofał i pogodził się z Wójcikiem.

Mar.

KĄCIK JĘZYKOWY

KTO JESTEM? KIM JESTEM?

Składnia języka polskiego ma swoje właściwości. Często przeciw nim wykraczamy. Pospolitym błędem w składni jest lekceważenie tzw. zgody orzeczenia z podmiotem. Weźmy ten klasyczny błąd, jaki popełniono w swoim czasie na bank notach Narodowego Banku Polskiego, sprostowany w następnych emisjach i przez komunikat nad zwyczajny dyrekcji Banku podany do powszechnej wiadomości. Czytaliśmy mianowicie na banknotach takie zdanie: „Przyjmowanie we wszystkich wypłatach jest obowiązkowym" — poprawione potem, zgodnie ze składnią polską, na: „przyjmowanie jest obowiązkowe". Podmiot w tym zdaniu — to „przyjmowanie"; orzeczenie — „jest obowiązkowe". Reguła zgody podmiotu z orzeczeniem w języku polskim wymaga, aby orzeczenie złożone, tj. składające się z czasownika posiłkowego „być" i z przymiotnika, liczebnika lub imiesłowu, zgadzało się z podmiotem w przypadku. Powiemy tedy w pierwszym przypadku (w. mianowniku): on jest dobry, ona jest miła, dziecko jest ładne, chłopcy są grzeczni, jesteśmy dobrze wychowani itp. Błędne jest natomiast kładzenie takiego orzeczenia w narzędniku czyli w przypadku szóstym: on jest dobrym, ona jest miłą, dziecko jest ładnym, jesteśmy dobrze wychowanymi. Natomiast, jeśli orzeczenie złożone jest, jak mówimy, rzeczowe czyli składa się z rzeczownika lub z rzeczownika z przymiotnikiem, kładziemy je w narzędniku. Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" pisze: „Grzeczność nie jest nauką łatwą ani małą". Gdyby nie było rzeczownika „nauka", napisałby: „grzeczność nie jest łatwa". Mówimy zatem: jestem żołnierzem, jest człowiekiem, jesteś chłopcem rozsądnym itp.

Jednakże i tutaj można użyć nieraz mianownika: jesteś chłopcze rozsądny. Gramatyka nawet określa, w jakich wypadkach należy orzeczenie rzeczowe kłaść w mianowniku, i kiedy — w narzędniku. Gdy oznacza ono przyrodzony i stały stan lub cechę podmiotu, zwłaszcza płeć, narodowość, wyznanie, stałe zajęcie, nazwisko — używamy mianownika, np.: jestem Polak, jestem katolik, jestem bakałarz. Zbudujmy takie dwa zdania: „jestem mężczyzna", i „bądźże mężczyzną!" W pierwszym — orzeczenie rzeczowe oznacza płeć czyli, że się tak gramatycznie wyrażę, stan przyrodzony i stały: kładę je tedy w mianowniku. W drugim wypadku: „bądźże mężczyzną!" — zwracam się do kogoś, kto — acz jest płci męskiej — nie wykazuje stale tych cech, jakie się kojarzą z pojęciem męskości: jest, dajmy na to, tchórzliwy czy niedołęga. Widzimy więc, jakie mogą zachodzić subtelności w używaniu przypadków. Powiedzmy np. „jestem bakałarz" i „jestem bakałarzem". W tym wypadku język czyni misterną różnicę, jeśli się chcemy pedantycznie do tych misterności stosować. „Jestem bakałarz" — znaczyłoby, że to jest moje stałe zajęcie, zawód nieprzerwanie uprawiany. „Jestem bakałarzem" należałoby rozumieć w ten sposób, że to coś przygodnego, chwilowego. Podobnie: „jestem żołnierz" i „jestem żołnierzem". Jestem żołnierz — niejako z urodzenia, z powołania. Jestem żołnierzem — na czas jakiś, dziś nim jestem — jutro mię zdemobilizują i przestanę nim być.

Ale to już są rzeczywiście arkana językowe dla wtajemniczonych, tj. dla majstrów stylu. W języku potocznym nie zachodzi potrzeba takiego cieniowania myśli.

BAKAŁARZ

KRONIKA KULTURALNA

„OCZYWIŚCIE, my katolicy wierzymy w cuda, tj. w bezpośrednią nadprzyrodzoną ingerencję Boga w sprawy ludzkie, oraz wierzymy w życie pozagrobowe i w możliwość pozagrobowej, niewytłumaczalnej naukowo komunikacji między ludźmi żyjącymi a duszami zmarłych. Niemniej jednak, podobnie jak przy cudach, tak i w sprawie owych kontaktów z duchami, Kościół zaleca daleko idącą nieufność..." Taką formułę wiary ogłosił oficjalnie w Nr 133 „Tygodnika Powszechnego" jego redaktor Jerzy Turowicz i zapewne większość jego czytelników pochyliła głowy, powtarzając kornie inną formułę: „Turowicz, cum ex cathedra loquitur, infallibilis est". Nas w danym momencie nie interesuje ani niejaka sprzeczność myślowa, występująca w formule Turowicza (z jednej strony — wiara w cuda, z drugiej — „daleko idąca" nieufność), ani istota jej i treść. Interesuje nas jej styl. „Komunikacja pozagrobowa" między żyjącymi a zmarłymi, „kontakty" z duchami — te określenia nazbyt techniczne, potoczne, trywialne nawet rażą uczucia prawdziwie religijne i delikatne. Komunikacja nadprzyrodzona i kontakty z duchami — to ujdzie w ustach mistrza Pyfello. Myśliciel katolicki powinien był powiedzieć przynajmniej: obcowanie żyjących ze zmarłymi, łączność świata materialnego z nadprzyrodzonym, związki duchowe itp. itp. Można znaleźć dosyć poważnych określeń.

St. Łatka

●

INTERESUJĄCE studium — rodzaj, jeśli się tak można wyrazić — reportażu psychologicznego pióra p. Michel Grinberg - Vinavert'a w przekładzie p. Jana Nowakowskiego pt. „Amerykański styl życia" drukuje „Twórczość" (zeszyt 9, wrześniowy). Są to „migawki", w których autor (Francuz) usiłuje sobie wytłumaczyć odrębności charakteru Amerykanów, ich postawy życiowej i postępowania codziennego, wziąwszy pod uwagę zmiany, jakie zaszły wszędzie po wojnie. I ostatecznie trudno mu „zgryźć" Amerykanina. Powiada: albo przyjmiemy założenie, że Francja stacza się ku upadkowi, a wtedy USA dostarczą nam przykładu kraju i społeczności w pełnym rozkwicie — „najdoskonalszej, albowiem ludzie czują się tam najszczęśliwsi", albo spojrzawszy na Francję ,jako na kraj u szczytu kultury, stwierdzimy, że Amerykanie są „ludem prymitywnym, a zdrowie ich jest raczej znakiem zwierzęcości niż cywilizacji".

●

SPOŚRÓD TYGODNIKÓW warszawskich — „Odrodzenie" całkiem pominęło milczeniem rocznicę Powstania Warszawskiego, za to „Nowiny Literackie" uczciły ją obszernym artykułem wstępnym pióra Hanny Mortkowicz - Olczakowej. Reprezentacyjnie wystąpiły (o „Tygodniu" nie mówimy) „Tygodnik Warszawski" tudzież „Dziś i Jutro", wypełniając całe numery materiałem powstaniowym, zarówno impresyjnym jak dokumentalnym. Szlachetnym patosem i wzruszeniem (o, nie łatwo tak pisać!) pobrzmiewa zakończenie jednego z artykułów w „Tygodniku Warszawskim": „W goryczy i uniesieniu gniewu na cynizm i obojętność wyzutej z uczuć braterskich ludzkości — Warszawa strzaskała broń gestem najtragiczniejszej rozpaczy. I poszła na zbiorową tułaczkę, na los, jakiego w tej skali nie zna historia. Do ostatka nieugięta i dumna".

ŚWIĘTO SZTUKI POLSKIEJ

PIERWSZY KONCERT WSKRZESZONEJ FILHARMONII WARSZAWSKIEJ



Rys. I. Żebrowski

Mieczysław Mierzejewski przy pulpicie

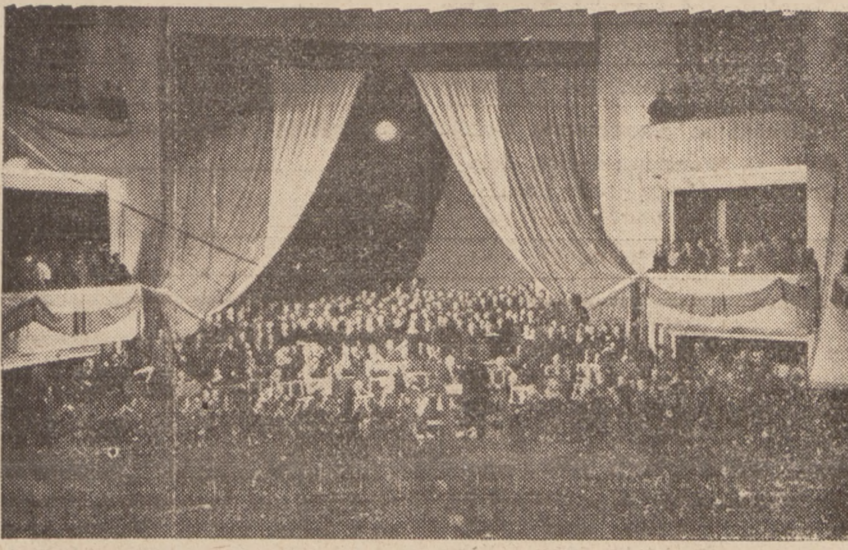
Ministerstwo Kultury i Sztuki powołało do życia po ciężkich latach wojny na nowo Filharmonię Warszawską, która w dniu 10 października rozpoczęła inaugurację sezonu 1947/48. Dyrektorem Filharmonii został mianowany prof. Jan Maklakiewicz.

Opinia publiczna przyjęła tę wiadomość z prawdziwym zadowoleniem, tym więcej, że melomani odczuwali brak Filharmonii w stolicy, a ponadto nie mieliśmy reprezentacyjnej orkiestry na równi z innymi stolicami Europy.

Początki były trudne. Angażowano dyrygentów, instrumentalistów i w końcu stworzono nawet chór filharmonijny. Dziś jesteśmy świadkami pierwszego koncertu w Warszawie w sali „Romy" i odtąd już rozbrzmiewać będą dzieła naszej kultury muzycznej, świadczące o naszej żywotności.

Na program złożyły się poważne utwory kompozytorów polskich. Koncert rozpoczęto odegraniem Hymnu Państwowego na Chór i Orkiestrę w opracowaniu prof. J. Maklakiewicza. Solistą wieczoru był znany pianista polski Henryk Sztompka, który wykonał ze stowarzyszeniem orkiestry „Fantazję Polską" Paderewskiego op. 18. Dzieło bogate w inwencję oraz pełne rozmachu wykonał artysta po wirtuozowsku tak pod względem muzycznym, jak i technicznym. Tłumnie zebrana publiczność zgotowała artyście burzliwe przyjęcie, zmuszając go do bisów.

Punktem kulminacyjnym programu były utwory Noskowskiego, Perkowskiego oraz Różyckiego. Uwertura symfoniczna Noskowskiego stanowi bardzo ważną pozycję w twórczości Noskowskiego, utrzymując się stale na estradzie. Piotr Perkowski napisał obraz symfoniczny pt. „Kościół Panny Marii" przed wojną i dzieło to wykonywane było wielokrotnie w kraju i zagranicą. Wedle oświadczenia samego kompozytora utwór powstał pod wpływem wrażeń ze strzelistego gotyku katedry toruńskiej.



Fot. Film Polski

Inauguracyjny koncert Filharmonii Warszawskiej w sali „Roma"



Rys. I. Żebrowski

Profesor J. Maklakiewicz

Na zakończenie programu wykonano poemat symfoniczny Ludomira Różyckiego „Anhelli". Utwór ten, oparty na utworze Słowackiego, stanowi żelazny repertuar na naszych estradach koncertowych. Różycki jest autorem wielu dzieł muzycznych i był reprezentantem „Młodej Polski" obok Karłowicza, Szymanowskiego i innych.

Orkiestrą dyrygował Mieczysław Mierzejewski. Jest to muzyk wybitnie zdolny, a prowadził orkiestrę ręką pewną i doświadczeniem wytrawnego kapelmistrza. Wyrazy pełnego uznania należą się również orkiestrze, która wywiązała się wspaniale ze swego zadania. Wykonawcy byli gorąco oklaskiwani przez licznie zebraną publiczność.

St. K.

Czynnik kompozycji

Odbudowa Warszawy jest nie tylko hasłem dnia: musimy przyznać, że z dniem każdym to hasło przyobleka się w kształty coraz bardziej widoczne. Zadyszany warszawiak, dla którego sprawą najważniejszą jest złapać tramwaj na Pragę lub autobus na Żoliborz, nie dostrzega być może tak wyraźnie zmian, zachodzących w wyglądzie miasta, jak dostrzega je człowiek przyjezdny, gdy po paru nawet tygodniach nieobecności zobaczy Stolicę. Nie tylko dostrzega: uderzają go one, i, rzecz zrozumiała, radują. Jeśli, mimo pociecha, jakiej doznaje na widok renesansu Warszawy, jest śledzienniekiem i niezadowoleńcem z natury (jak większość Polaków), popsioczy wówczas na BOS, który, jak się zdaje, zżył się z psioczeniem i czuje się dobrze.

Rzeczywiście BOS robi niekiedy wrażenie, jakby nie wiedział dokładnie, czego chce, i postępuje czasami tak nieprzezornie, jak cesarz Józef II, o którym zapobiegliwy Fryderyk Wielki mawiał, że stawia on naprzód drugi krok, a potem pierwszy. BOS to pozwala na jakąś budowę, to zabrania jej, gdy już jest pod dachem; to nakazuje zburzyć jakąś kamienicę, to po zburzeniu jej, dochodzi do wniosku, że była potrzebna; to przytwierdza budowie gmachu trzypiętrowego, to po wykończeniu go, przypomina sobie, że powinien być dwupiętrowym gwoli harmonii z otoczeniem. Jakie mogą bywać przyczyny tego rodzaju nieprzemyśleń rzeczy? Zapewne tempo. pracy, która, naturalnie, pali się BOSowi w rękach.

Ale może być inna tego przyczyna. Oto... Przed tym jednak zróbmy dygresję. Mam przed sobą wielkie dzieło Tadeusza Tołwińskiego pt. „Urbanistyka", wydane na kilka lat przed wojną, gdy autor jego był profesorem budowy miast na politechnice warszawskiej. Jeden z rozdziałów tego kapitalnego dzieła omawia zagadnienie i stosunek wzajemny czynników, stanowiących w ogóle o budowie miasta. Może być pięć zasadniczych czynników: topograficzny, wynikający z warunków naturalnych; gospodarczy zależny od kierunku w jakim zdąża ekonomika miasta — czy jest to, powiedzmy, przede wszystkim miasto handlowe, czy przemysłowe, czy też — przeciwnie, cichy ośrodek nauk i sztuk itp.; dalej, czynnik warowności, który w życiu współczesnym nie ma tej wagi, co niegdyś; czynnik komunikacyjny, związany z położeniem miasta oraz z warunkami przyrodzonymi i gospodarczymi; na koniec czynnik obyczajowo-prawny; znaczy to, że forma każdego miasta staje się odbiciem życia ludności, mającej swoje tradycje i zwyczaje. Czynniki powyższe działają zwykle nie pojedyńczo, lecz zbiorowo, z przewagą tego lub innego.

Wszelako, prócz nich, istnieje jeszcze jeden czynnik, być może doniośliejszy. Prof. Tołwiński nazwał go czynnikiem „kompozycji urbanistycznej" albo „świadomej twórczości". Rolę jego w budowie i rozbudowie miasta ujął w tych słowach: „Opierając się na podstawach, wywnioskowanych ze wszystkich wyliczonych czynników, i na całym aparacie życiowym miasta, czynnik kompozycji tworzy myśl, ogarniającą całość zagadnień. Koordynuje, harmonizuje i wytwarza z poszczególnych czynników i fragmentów jeden zwarty organizm, prosty w konstrukcji i jasny w jednolitej formie. Okresy jego przewagi i spokojnego opanowania poprzednich pięciu czynników są okresami wysokiego poziomu urbanistycznego w ustroju miasta. Okresy jego upadku, bezsilnego i bezładnego podporządkowania się przewadze innych czynników, idą w parze z upadkiem kultury miast i nieraz odzwierciadlają chaos, panujący ogólnie w kulturze danego kraju i pewnej części epoki historycznej".

Czynnik „kompozycji urbanistycznej", czynnik „świadomej twórczości" w dziele budowy miast, nadanie im wspaniałości i majestatu i uczynienia z nich całości artystycznej — zawdzięcza historia kultury wybitnym, nieraz genialnym jednostkom. Zjawiają się one w jakiejś epoce, wycisną na niej swe piętno i znikają. Tak sądzi w swej książce Tołwiński i sąd swój wzmacnia obserwacją Descartes'a: „Jedną z pierwszych myśli moich — powiada Descartes — było spostrzeżenie, że często dzieła, złożone z rozmaitych części i wykonywane ręką rozmaitych mistrzów mniej są doskonałe niż te, nad którymi pracował jeden tylko człowiek". Rzeczywiście można się z tym zgodzić. Piękno wielu miast europejskich, od najdawniejszych czasów, rodziło się z woli i geniuszu jednostek; najczęściej działo się to w ten sposób, że jakaś jednostka, mająca władzę, środki i zrozumienie sztuki, znajdowała ku pomocy drugą jednostkę, mającą talent. Starożytne Ateny stworzył Perykles i Fidiasz. Rozkwit urbanistyczny Rzymu antycznego wiąże się z imionami Augusta, Trajana, Dioklecjana. Rzym papieski był tworem takich geniuszów, jak Buonarotti czy Bernini. „Miastem światłości" czynili Paryż Soufflot, Mansard, Gabriel — twórca placu Concorde, wreszcie Haussman, którego umiał wyszukać i ocenić Napoleon III. Wiedeńskie Ringi, arcydzieło urbanistyki, powstały w ciągu dziesięciu lat: zrozumiał ich monumentalne piękno Franciszek Józef, a powołał je do życia, zdaje się, architekt Sempler. Cesarski Petersburg komponowany był w swych rozległych perspektywach przez architekta Rossiego w pierwszej połowie zeszłego stulecia. Berlin, jakiegokolwiek będziemy o jego urbanistyce zdania, miał swego Schinkela, który rozplanował Unter den Linden. śródmieście i dzielnicę muzeów... Ludzie ci rzeczywiście zjawiali się i znikali — znikali tak osobliwie, że nazwiska ich pozostały tylko w pamięci historyków, a dla ogółu są pustym dźwiękiem, oznaczającym niekiedy jakąś ulicę, jak paryska rue Soufflot, albo jakiś rodzaj budownictwa, jak mansarda, o której pochodzeniu nic się nie wie.

Warszawa nie miała większego szczęścia do takich geniuszów opiekuńczych. Stanisław August chciał z niej zrobić klejnot, ale nie zdążył. Potem gdzieś kiedyś, przysłużył się jej jakiś Kubicki czy Corazzi. Zresztą, czynnik kompozycji urbanistycznej bezsilnie i bezładnie podporządkowywał się w niej — jakby orzekł Tołwiński — przewadze innych czynników, nieraz nadto utylitarnych, grubych i nieokrzesanych. Czy dzisiaj, w czasach, które są jedyne w dziejach Warszawy, by stworzyć z niej doskonałość urbanistyczną, wyrośnie śród urzędników BOS'u geniusz, jaki na podobieństwo nowego Haussmana, geniusz, ożywiony miłością do miasta swego i sztuki, i tą tylko ambicją osobistą, by imię jego przetrwało jeno w nazwie ulicy albo placu? Odpowiedź na to pytanie może być jednocześnie odpowiedzią na owo, które zadałem sobie na początku, przed dygresją o książce Tołwińskiego.

Jerzy Wyszomirski

NOWY STYL PRACY ZAWODOWEJ

Rozwój szkolnictwa zawodowego w Polsce przybiera co raz szybsze tempo. Gdy w roku 1939 mieliśmy zaledwie 200.000 młodzieży uczącej się w szkołach zawodowych, to już w roku 1942 pobiera wiedzę zawodową w szkołach blisko 400.000 młodzieży. Jest uzasadniona nadzieja, że wraz z zakończenem planu trzyletniego cyfra ta jeszcze wzrośnie i dojdzie do 600.000 młodzieży, która powiększy kadry przyszłych fachowców w różnych dziedzinach naszego życia gospodarczego.

Ten stan rzeczy, jaki istniał przed wojną, gdy mieliśmy nadmiar inżynierów, ludzi z wyższym wykształceniem, a sprowadzaliśmy majstrów i specjalistów z zagranicy, należeć będzie wkrótce do bezpowrotnej przeszłości.

Szkolimy kadry własnych fachowców. Spółdzielczość na tym polu przejawia nie tylko inicjatywę, ale ją również wprowadza w życie.

Ostatnio odbyło się w Sandomierzu otwarcie w nowo wybudowanym gmachu Liceum przetwórstwa owocowo - warzywniczego. Przed wojną nie mieliśmy takiej uczelni, toteż młodzież, chcąca się poświęcić tej gałęzi wiedzy, musiała studia odbywać w Niemczech.

Spośród podobnych liceów spółdzielczych istnieje liceum piekarskie w Bydgoszczy, liceum jajczarsko - mleczarskie w Poznaniu.

Do rzędu tego typu uczelni zawodowych przybyło roczne liceum młynarskie w Kaliszu, którego uroczyste otwarcie odbyło się w Centralnym Ośrodku Szkolenia Młynarskiego w dniu 5 bm. Jest to pierwsza i jedyna w Polsce placówka, której zadaniem jest kształcenie dobrych fachowców branży młynarskiej, bo aczkolwiek Polska przed wojną była krajem wybitnie rolniczym, nie mogliśmy się pochwalić poziomem naszego młynarstwa.

Zadaniem Centralnego Ośrodka Szkolenia Młynarskiego jest ten stan rzeczy uzdrowić.

Dotychczas robiło się to metodą krótkodystansową gdyż czas naglił. Młynarstwo po wojnie było zdezorganizowane, warsztaty pracy w ruinie, formy pracy przestarzałe. Toteż „Społem", mając pod swym zarządem kluczowe młyny przystąpiło do przeszkolenia pracowników.

Na specjalnych kursach w ośrodku kaliskim przeszkolono 311 osób, w tym 170 pracowników buchalteryjnych i 141 pracowników technicznych - nadmłynarzy i magazynierów.

Obecnie Ośrodek Szkolenia Młynarskiego, obok doraźnego krótkoterminowego przeszkolenia, przeszedł na szkolenie długofalowe, uruchomiając roczny kurs Majstrów Młynarskich, spośród pracowników młynów spółdzielczych.

W tym celu zorganizowano specjalne laboratorium młynarskie, które będzie również służyło dla potrzeb doświadczalnych. Istnieje tendencja do rozbudowania tego laboratorium na placówkę naukową.

Cechą znamienną tego liceum jak wszystkich pokrewnych społemowskich uczelni zawodowych, jest to, że są one wmontowane w produkcję, a więc związane są z życiem praktycznym, z zakładem wytwórczym czy fabryką.

Ta do pewnego stopnia nowość w metodach pracy naukowej przyniesie niewątpliwie dodatnie rezultaty.

Jeśli wybrano Kalisz jako ośrodek szkolenia młynarskiego, to dlatego, że miasto posiada nie tylko dobre tradycje młynarskie, ale także ze względu na to, że położone jest centralnie w terenie gdzie skupia się największa ilość młynów jak Wielkopolska i Dolny Śląsk.

Podobnie wmontowane jest w warsztat produkcyjny Liceum przetwórstwa owocowo - warzywniczego w Sandomierzu. W pobliskich słynnych Dwikozach słuchacze tego liceum będą przechodzili naukę praktycznie, poczynając od samego abecadła przetwórstwa owocowego.

Takie praktyczne szkolenie przyniesie uczniom znaczne korzyści z różnych punktów widzenia, a mianowicie: nie tylko pogłębi ich wiedzę teoretyczną, ale absolwentom Liceum da możność zaraz po ukończeniu nauki objąć stanowiska w zakładzie, a tym samym zaoszczędzi młodzieży kłopotów, starań i zachodów przy szukaniu posady.

Rozszerzenie branży szkoleniowej nauczania zawodowego jest objawem ze wszech miar pomyślnym, świadczącym o tym, że wkraczamy systematycznie na drogę nowego stylu pracy, że tym samym podnosimy standart gospodarki narodowej.

Oddział powiatowy w Wieluniu

Oddział Powiatowy „Społem" w Wieluniu, ul. Turowska 1, istnieje od 1 marca 1945 r. Zaopatruje w towary 52 spółdzielnie z terenu całego powiatu, zatrudniając 46 pracowników.

Poza artykułami spożywczo - kolonialnymi Oddział prowadzi działy: włókienniczy, matriałów pędnych (nafta, benzyna, smary i oleje maszynowe) oraz materiałów budowlanych i opałowych, a także hurtownie: soli, wyrobów PMS, zapałek, wyrobów tytoniowych i drożdży. Dział materiałów pędnych dysponuje zbiornikami na naftę i benzynę, położonymi tuż przy stacji kolejowej. Ma to doniosłe znaczenie nie tylko dla powiatu Wieluńskiego, ale i dla sąsiednich powiatów, których ludność — Oddział zaopatruje w naftę stanowiącą jedyny środek oświetleniowy dla tamtejszych nie zelektryfikowanych terenów. Ponadto przez powiat wieluński przebiega kilka wielkich arterii przelotowych, na których ruch samochodowy jest wyjątkowo ożywiony. Posiadanie zatem odpowiednich zbiorników benzyny pozwala Oddziałowi na zaopatrzenie ruchu motorowego w materiały pędne. Magazyny Oddziału, o pojemności 1.500 ton, są niedostateczne, toteż w trzyletnim planie przewidziana jest budowa nowych magazynów z własną bocznicą w pobliżu toru kolejowego. Tabor Oddziału składa się z 3 samochodów ciężarowych, 2 koni i 2 wozów.

Powiat wieluński pod względem wielkości zajmuje 2 w Polsce a 1 w wojew. łódzkim miejsce. Toteż choć posiada dużą stosunkowo ilość sklepów spółdzielczych, to jednak sieć ich jest niedostateczna. Należałoby jeszcze otworzyć około 15 nowych sklepów. Rada Oddziałowa wybrana jeszcze w czerwcu 1945 r. uległa zdekompletowaniu. Uzupełniono jej skład przez kooptację, a dopiero nowe wybory w czerwcu b. r. wprowadziły do niej nowych ludzi. Kierownikiem Oddziału od grudnia 1945 r. jest Kazimierz Czajkowski, który w roku ubiegłym święcił 25-lecie swojej pracy na niwie spółdzielczej. **(a.)**

Nr 197

Z życia placówek Spółdzielczych

Oddział w Pruszkowie

Oddział Zw. Gospod. Spółdzielni R.P. „Społem" w Pruszkowie pod Warszawą powstał w marcu 1945 roku. Organizacja Oddziału musiała pokonać duże trudności, nie było bowiem odpowiednich pomieszczeń, ani na biura, ani na magazyny. Trudności te szczęśliwie pokonano i obecnie biura Oddziału zajmują cały parter willi przy ul. Stalowej Nr 30.

Oddział zaopatruje w towary spożywcze całą lewobrzeżną część pow. warszawskiego i m. Pruszków oraz w artykuły przydziałowe, włókiennicze i obuwie — całe woj. warszawskie. Na terenach obsługiwanych przez Oddział istnieje 17 Spółdzielni, a w tym 5 — wielosklepowych i 5 — Samopomocy Chłopskiej.

W chwili obecnej Oddział zatrudnia 62 pracowników, prowadząc poza działami spożywczo - kolonialnym i atrykułów przydziałowych, następujące hurtownie: soli, wyrobów Państwowego Monopolu Spirytusowego, zapałek i wyrobów tytoniowych oraz skład materiałów budowlanych. Dział Transportowy Oddziału dysponuje 7-mioma samochodami ciężarowymi, które obsługują obszar całego województwa.

Obroty Oddziału ze Spółdzielniami wynoszą 50 proc., z innymi instytucjami — 20 proc., a resztę przeznaczono na wolny rynek.

Początkowo magazyny Oddziału, położone w 3-ch różnych punktach miasta, zdolne były pomieścić około 2.000 ton towarów. Były więc stanowczo zbyt małe. W roku bieżącym zostanie otwartych 15-cie dalszych sklepów.

Przy Oddziale istnieje Rada Oddziałowa, która żywo interesuje się działalnością tak samego Oddziału, jak i rozwojem spółdzielczości w terenie. Członkowie Rady Oddziałowej biorą udział w pracach Komisyj Oddziałowych: Rewizyjnej, Gospodarczej i Społeczno - Wychowawczej, a w terenie pomagają Spółdzielniom w organizacji zebrań, służąc radami i wskazówkami oraz zapoznając z obowiązującymi instrukcjami.

W liczbie pracowników Oddziału, zatrudnionych jest dwóch weteranów pracy spółdzielczej, którzy niedawno święcili swój 25-letni jubileusz. Są to: p. Julian Opałło, zastępca kierownika Oddziału, pracujący w spółdzielczości od 1920 roku i p. Karol Frynt, buchalter - bilansista, posiadający za sobą 28 lat pracy na niwie spółdzielczej.

Kierownictwo Oddziału, który posiada przed sobą duże możliwości rozwojowe, od maja 1945 roku spoczywa w ręku p. Antoniego Recha, pracującego w spółdzielczości od lat 10-ciu bezmała, który na swoim ostatnim stanowisku dał się poznać jako zdolny handlowiec i organizator. 195. (a)

W ubiegłym tygodniu nagrodę 300 zł otrzymał p. Jerzy Biliński (Rzeszów — Delegatura „Społem" ul. Hofmanowej) za nadesłanie ogłoszenia zamieszczonego w Nr 272 (956) „Dziennika Polskiego" z dnia 5 października br.:

„OKAZJA. — Bardzo tanio sprzedam futro perskie luźne na średnią, używaną sypialnię i stołowy. Krakowska 29 — Galanteria".

Zdaje się, że autor tego ogłoszenia miał „klepki" poprzestawiane.

*

„Trybuna Robotnicza" w artykule pt. „Łucja Małgorzata płynie do Afryki", zamieszczonym w dniu 7 sierpnia br. pisze:

„Najwyższa góra Ameryki nazywa się Kościuszko, właśnie tak ją nazwał Edmund Srzelecki, znakomity podróżnik polski. Amerykę poznawał również inny polski podróżnik, Stanisław Kubary" (nadesłał Zdzisław Fischbach — Września).

Gdzie Rzym, gdzie Krym, a gdzie Karczmy Babińskie. Autorowi artykułu pomieszały się części świata, albo też miał z geografii dwóję i dotychczas braków nie uzupełnił, pomijając już fakt, że „znakomity podróżnik polski" nazywał się Strzelecki.

*

Że z nauką geografii jest u nas źle, świadczy drugi artykuł pt. „Rzeczpospolita między zwrotnikami" zamieszczony w Nr 251 „Dziennika Polskiego" z dnia 14 września br., w którym między innymi czytamy:

„Uganda to kraj wielkiej przygody. 20.000 słoni, tysiące lampartów, lwy — jest ich niewiele — konie morskie, hipopotamy, żyrafy, zebry. Nasz step rozbrzmiewa strasznymi odgłosami, od których cierpnie skóra. Ale po nocy nadchodzi znowu dzień, jak z bajki..." (nadesłał Jan Turek — Kraków).

Pomimo, że pod tytułem artykułu podano: „Korespondencja własna „Dziennika Polskiego", to jednak mamy wątpliwości, czy autor artykułu był osobiście w Ugandzie, czy też fantazjuje jak „w bajce". Bo nikt nie uwierzy w to, by widział w Ugandzie „konie morskie".

*

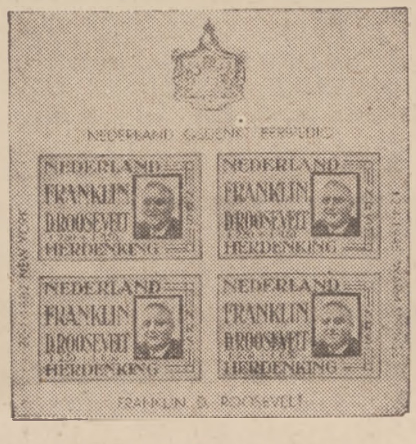
KRACH WALUCIARZY

Pod tym tytułem zamieszcza „Związkowiec" artykuł w Nr 35 (97) z dnia 24 sierpnia br., w którym czytamy:

„Nowym dowodem postępującej stabilizacji życia wewnętrznego Polski jest nieobserwowany ostatnio krach czarno-giełdziarski. W ciągu kilku miesięcy nastąpił spadek kursu dolara w potajemnych nielegalnych obrotach o 100 proc."

A więc cieszmy się: dolary darmo! Nie mają już żadnej wartości, bo spadły o całe 100 proc.

KĄCIK FILATELISTYCZNY



Fala „rooseveltowskich" wydawnictw nie opada. Co prawda nic nie słychać o polskim znaczku z podobizną wielkiego Prezydenta, o którym „Pocztowiec" pisał już w lutym, a który i amerykańskie pisma filatelistyczne zapowiadały już mniej więcej w tym samym czasie, ale za to w innych państwach ukazuje się tyle wydań pamiątkowych, że część zbieraczy amerykańskich zajęła się wyłącznie kolekcjonowaniem znaczków z Rooseveltem. Istotnie, kopalnia to nieprzebrana. Znajdziemy w niej i normalne obiegowe serie i wydania spekulacyjne, znaczki artystyczne i szpetne. Ale rekord brzydoty pobiło chyba wydanie holenderskie. Składa się ono ze znaczka wartości 2,50 + 0,50 f i z bloku, który reprodukujemy dziś w naszym „Kąciku". Całość, która przypomina raczej jakieś nalepki reklamowe, czy też opakowania nożyków do golenia a nie znaczki, utrzymana jest w trzech barwach: znaczek jest brązowy, ramka dokoła portretu i wartość są w kolorze czarnym, a napisy na marginesach w niebieskim.

Jeszcze bardziej kolorowa, bo aż w czterobarwnym druku, ma się ukazać nowa seria austriacka. Będzie to pierwsze kilkokolorowe wydanie wiedeńskie, które — sądząc po poziomie dotychczasowych znaczków austriackich — winno zadowolić najwybredniejszych zbieraczy.

Chodzi tym razem, jak podaje austriacka „Neue Sambrschau", o serię z dopłatami na rzecz zwalczania gruźlicy, która przedstawiać będzie kwiaty w kolorach naturalnych.

Dla filatelistów najciekawszą rzeczą jest pytanie, czy pobiją one szwajcarskie „Pro Juventute". Byłby to triumf nielada!

Witold Orłowski

NOWY KONKURS „TYGODNIA"

Zagadka jedenasta zamieszczona w Nr 40 (64) sprawiła wiele kłopotu naszym czytelnikom, tak, że zaledwie cztery osoby nadesłały dobre odpowiedzi. Rozwiązanie winno brzmieć:

„Nie brataj się z dworem,
Bo przypłacisz worem".

Inne odpowiedzi, jak np.: „Pańskie oko konia tuczy", „Raz na wozie, raz pod wozem", „Przyszła koza do woza", „Chłop ci robi silnie, jak go dojrzysz pilnie", „Nie mój wóz, nie będzie cię (mię) wiózł". „Kiedy bierzesz się do zwózek, przed zaczęciem opatrz wózek", „Co pan każe sługa musi", i „Bez pracy nie ma kołaczy" — uznano za błędne, chociaż trzy ostatnie odpowiedzi mogłyby mieć zastosowanie do zamieszczonego rysunku. Na podstawie nadesłanych odpowiedzi otrzymali

NAGRODY KSIĄŻKOWE:

Danuta Kaczmarkówna — Wągrowiec, ul. Gnieźnieńska 24.

Dionizy Łukowski — Wągrowiec, ul. Dębińska 25.

Dominik Maciołek — Podobowice pow. Żnin.

Leonard Burdelski — Wągrowiec, ul. Bartodziejska 31.

Zagadkę trzynastą podamy w następnym numerze.

NIEPODJĘTE KSIĄŻKI

Poczta zwróciła nam nagrody książkowe wysłane pp.:

Polaczkowi Jerzemu — Myślenice, Rynek 27.

Gurskiemu Czesławowi — Zakopane — Sanatorium Akad.

Trzasce Janowi — Płock, ul. Bielska 12—9.

Kaszubie Joannie — Rzeszów, ul. Czwartaków 2.

Prosimy o nadesłanie do Redakcji prawidłowych adresów.

VI KONKURS „TYGODNIA" *na rozrywki umysłowe*

W numerze 38 (62) „Tygodnia" rozpoczęliśmy VI Konkurs naszych rozrywek umysłowych, który zakończy się dnia 23 listopada br.

Za prawidłowe rozwiązanie każdego zadania przyznane będą trzy punkty. Suma najwięcej zdobytych punktów decydować będzie o wygranej.

W razie równej ilości punktów nastąpi losowanie. Odpowiedzi należy nadsyłać do Redakcji „Tygodnia", Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8, do dnia 10 grudnia br. Szczęśliwym zwycięzcom Konkursu przyznane będą wartościowe nagrody książkowe.

Konkurs ten jest połączony z konkursem autorskim, przy czym uczestnicy konkursu po jego zakończeniu wytypują trzy najlepsze zadania.

SZARADA

Stolico ukochana, krwi mordów ofiaro.
Już odradzasz się z gruzów, jak z popiołów feniks,
Nie zamarła twa w jasną przyszłość święta wiara,
Gwałt hartu twego ducha nie był w stanie zmienić.

WSPAK TRZECIEJ—DRUGIEJ—WSPAK RAZ—SIÓDMEJ twojej cały
Naród święcie dokona boś mu dzieckiem drogim,
Abyś w innej postaci, nie mniej okazałej,
Była znakiem Zwycięstwa nad odwiecznym wrogiem.

Jak dawna PIĄTA — SZÓSTA — CZWARTA ale nowa
Nie przestaniesz być sercem bijącym narodu,
Tym sercem, które miłość wiecznie w sobie chowa
Dla swych dzieci mieszkańców syreniego grodu.

CZWARTA — SZÓSTA stolica nie umarła, żyje —
Bo krew jej bohaterów była glebą żyzną.
Na której wyrastają, jak na bujnej niwie
Płomienne kwiaty chwały — synowie ojczyzny.

Ar.

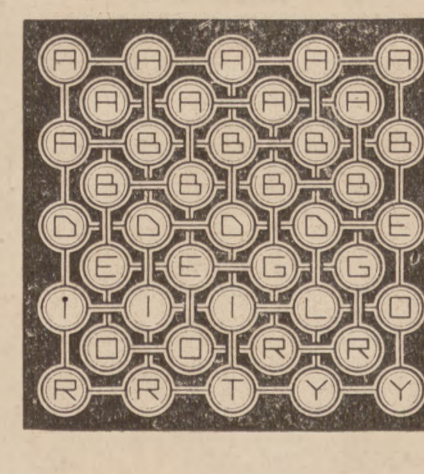
Bikwadrat magiczny

Z podanych głosek ułożyć pięć wyrazów pięciogłoskowych o podanym znaczeniu, czytanych poziomo i pionowo, tworząc tym samym większy kwadrat magiczny. Z pozostałych głosek powstanie kwadrat magiczny mniejszy, którego wyrazy należy złożyć tak, aby cała przekątna, czytana od lewego górnego rogu na dół, dała aktualne znaczenie.

Znaczenie wyrazów kwadratu (większego):

1. Duże zwierzęta szczurowate. 2. Posiłek. 3. Niedola, niedostatek. 4. Lotniczy przyrząd kontrolny. 5. Ryby złotobrewki wspak.

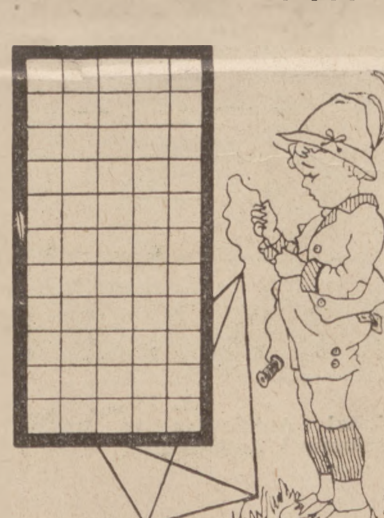
Erazm Grójnacki



TYDZIEŃ

Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Tydzień".
Redaguje: Zespół redakcyjny.
Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Szpitalna 5 m. 8.
Redaktor przyjmuje w czwartki piątki i soboty od 10—12.
TELEFONY: Redakcji 86-164
Administr. 88-715
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Prenumerata miesięczna 75 zł, półroczna—450 zł, roczna 900 zł.
Konto PKO Warszawa Nr I-4766
Konto czekowe w Banku Gospodarstwa Spółdzielczego Oddz. Wojewódzki Warszawa Nr 107.
Ogłoszenia za 1 mm wysokości na szerokość 1 szpalty — 75 zł.
W kolorze — 50% drożej.
R. S. W. „PRASA", Z. G. W-wa, Smolna 12. B-40511

ELIMINATKA



Należy odszukać 11 wyrazów pięcioliterowych o następującym znaczeniu: 1) Sławny rabin żydowski, ur. w pierwszym wieku ery chrześcijańskiej. 2) Współobywatel. 3) Rodzaj tańca. 4) Stolica Egiptu. 5) Gatunek palmy, rosnącej w Poł. Azji. 6) Rodzaj poezji dydaktycznej. 7) Znakomity lekarz i autor, profesor w Pawii, Mediolanie i Padwie, ur. w 1772 r. 8) Człowiek, chodzący boso. 9) Miasto w Japonii, w półn. części wyspy Hongo. 10) Wyspa, leżąca między morzem Egejskim a Śródziemnym. 11) Naczynie do mleka.

Z odszukanych wyrazów skreślić litery, wchodzące w skład klucza, którym jest słowo o znaczeniu: materia jedwabna, przetykana złotem, złotogłów. Pozostałe litery dadzą aktualne rozwiązanie.

Ludwik Jasiński

LATARNIE OLEJNE LOTERIA I PĄCZKI

CZYLI

OBRAZKI Z DAWNEJ WARSZAWY

OD chwili przeniesienia stolicy Polski z Krakowa do Warszawy istniał patriarchalny zwyczaj, że królowi, ministrom i staroście — mieszczanie Warszawy składali dwa razy w roku daniny: na Boże Narodzenie — ogromne ryby, na Wielkanoc — ogromne mazurki. Dopiero w dniu 24 grudnia 1759 r. August III zniósł kosztowne podarki, a wzamian nich zobowiązał „sławetnych obywateli", aby przy bramach domów, z nastaniem zmroku zapalali latarnie (Codex privilegiarum v. II, f. 77). Ten sam przywilej upoważniał magistrat do udzielania każdemu z mieszkańców pozwolenia na urządzanie redut, „byleby odbywały się w czasie karnawału, albo w innym, przez kościół niezabronionym" i byleby magistrat pobierane za pozwolenia wpłaty obracał na kupno oleju i lamp do oświetlenia ulic. Autorem tego „przywileju" był marszałek Biliński, który chciał w ten sposób wykorzystać chęć do zabawy i uzyskać odpowiednie sumy na rzecz oświetlenia Warszawy. Odtąd rozpowszechniły się w Warszawie reduty, które trwały od października do adwentu i od Bożego Narodzenia do wielkiego postu.

Ćwierć wieku nie upłynęło od daty „przywileju", a już węgierski wydrwiwał „poprawę warszawską":

„Pełna niegdyś Warszawa zbytków i rozpusty,
Skromnie teraz zaczyna odprawiać zapusty.
Ustały już asamble, pikniki, baliki,
Zniknęły pełne złota bankierskie stoliki;
Tłumne dawniej i jasne redutowe sale,
Już wcale są przestronne po tym karnawale.
Spociwszy się po tańcu, ziółka popijają.
Ostrygi krwi nie psują, szampana nie znają.
A Maynerty i Włochy, redutni kramarze,
Już biedni bankrutują na swoim towarze.
Ów ledwo utarguje kawy lub herbaty,
Ten za dwa lub trzy złote włoskiej czekulaty.
Wszyscy są filozofi, każdy medytuje,
Każdy nad marnościami świata rozumuje,
I ten, co wczora szalał, co złoto rozsiewał
Dzisiaj czyta Senekę... któżby się spodziewał..."

O tym, jak się odbywały dawne zabawy, możemy dowiedzieć się ze starych pamiętników. Nie bardzo przypadłyby nam one do smaku, tak dalece inne były czasy i inni ludzie. Oni nie zrozumieliby naszych świetlic i zabaw, my również nie rozumielibyśmy ich, kiedy zwłaszcza w dobranej kompanii popuszczali wodze swojej fantazji. Nawet doktór filozofii zapomniałby języka w gębie, gdyby przemówiono do niego pijacką łaciną, w której primum beneficium znaczyło — kobiałka, subiectum — gorzałka, armatura — wilczura, apertura — sukni dziura occupatio — żniwo, eloquentia — mocne piwo, autoritas — wino, patientia — zimno, suavitas — miód, vae nobis — głód, miseria — śledź, publicatio — zapowiedź, ilustris — nagi, oboedientia — plagi, custodia — psy, laetitia — karczma we wsi itp. Dawno już znikł ten makaroniczny humor, ale przed 200 czy 150 laty nawet szyldy sklepowe, ozdobione figurami krakowiaka lub Turka wabiły przechodnia rymami, przy kieliszku lub za kieliszek ułożonymi. Jeszcze przed kilkudziesięciu laty bawił warszawiaków „poezją handlową" kantor loterii, a zarazem skład miodu „Pod Kopernikiem", ale bynajmniej nie na Nowym Świecie lub Krakowskim Przedmieściu, lecz w dzielnicy staromiejskiej, u zbiegu ulic Mostowej i Brzozowej. Drzwi sklepu, ciemnego, z okopconymi ścianami, zdobił następujący napis:

„Tędy wchód
na losy i miód,
sprzedaż win,
herbata z Chin."

a nieco niżej:

„W tym tu kantorze panie
Fortuny jest mieszkanie."

Liczne sklepy loteryjne zaopatrzone były w mniej lub więcej dowcipne wierszowane zachęty do kupowania losów, jak np.:

„Komu trzeba pieniędzy,
Niech tu śpieszy czemprędzej!
Kto w kłopocie się znajdzie,
Niechaj tylko tu zajdzie!
W tym kantorze wzięty los
Może przynieść złota trzos,
Kto stan mierny miłuje,
Niech część losu kupuje,
A kto o szczęście dbały,
Niech kupuje los cały."

I za ladą sklepową „poezja" nie opuszczała gościa. Często, gęsto przygrywał tam na cymbałach grajek siwobrody, a na etykiecie każdej butelki miodu znajdowały się wierszyki, jak np.:

„Naucza nas Kopernika praca,
Iż się swym biegiem ziemia obraca.
Że zaś ten system jest prawda szczera
Dowodzi stary miód Winawera."

Teraz już nie dowiedzie, bo z dawnej miodosytni Winawera nie pozostało śladu, a w pobliżu niej powstała nowa, założona przez Spółdzielnię Pszczelarską przy zbiegu Zalesnej i Alei Sikorskiego, która zdobyła sobie uznanie Warszawiaków.

Wspominając o dawnej Warszawie nie sposób nie wspomnieć o pączkach, które swym „arystokratycznym rodem" sięgają XVII wieku. Oto bowiem co w roku 1708 zapisał w swoim „raptularzu" Kacper Janicki: „Przywędrowała do nas z zagranicznej ziemi łakoć: pączki. Moja babka pisarzowa, kończąc na gromnicę roczek 88, nieraz mawiała, że pączki już były znane za jej młodości. Ale, jakości wyszły ze zwyczaju i już wcale od mojej infimy nic o nich nie wiedziałem. Dopiero od kilku lat pieką pączki w Warszawie nie tylko oświecone i wielmożne panie, ale już od Trzech Króli aż do Popielca każda nasza mieszczanka musi mieć ten specjał, a której lepiej udadzą się te jakby jabłuszka, to ona mianuje się szczęśliwszą."

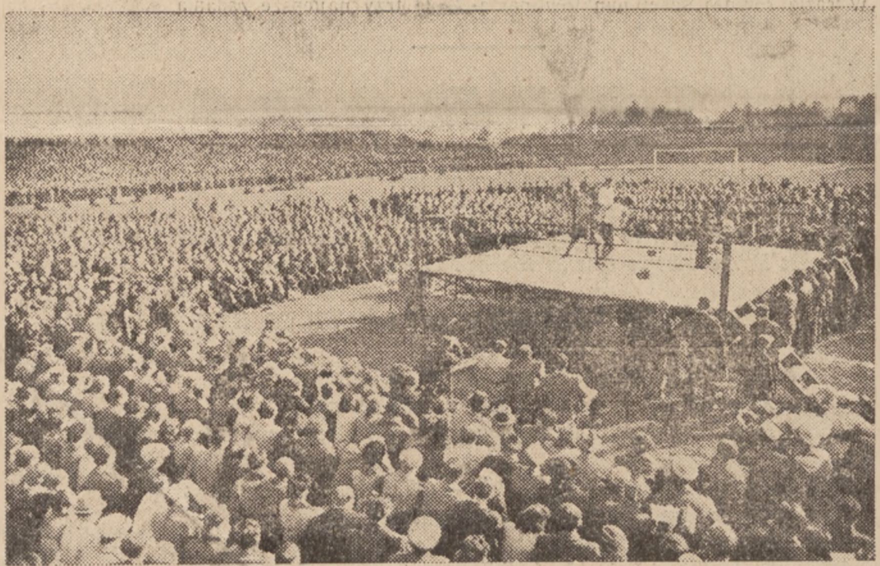
Idącej z postępem czasu Warszawiance już takie „jabłuszka" nie wystarczają do szczęścia. Zamiast parzyć rączki przy pieczeniu pączków, wygodniej jest posłać po nie do Gajewskiego, Ziemiańskiej lub Bliklego.

Kuchnią polską zachwycali się cudzoziemcy dawniej. Zachwycają się też i dziś, ale nie wszystko podobało się im w dawnej Warszawie. Oto, co opisuje Seglas w swych pamiętnikach przed 150-ciu laty: „Nie byłem w Herkulanum i Pompei, lecz wyobraziłem sobie, czym być mogą te podziemne miasta, gdym zwiedzał Warszawę za panowania pruskiego i gdym się przypatrywał jej gmachom, w których niegdyś skupiało się całe życie, co były siedliskiem towarzystwa. Gmachy te stoją w posępnym milczeniu, wśród zgiełku ulicznego. Bramy wjezdne dziedzińców, albo są zarzucone zbiorem śmieci, albo też zastawione niekształtną budową stragana. Gdy na wpół spróchniałą furtką wejdziesz na dziedziniec, zdaje ci się, żeś przestąpił próg, za którym jest miasto martwe. Bruk podwórza przerósł cały trawą, lipy wzdłuż muru oszpecone suchymi gałęziami i gniazdami wróbli... A w jakimże to miejscu stoi zamek? Musisz chyba przejść za Wisłę, abyś go widział, lecz w mieście samym możesz być o kilka kroków, a nie domyślisz się. Tam, gdzie posąg jednego z królów najmniej godnego posągu, ponad okopconymi domami się wznosi, jest brama niska, ciemna (Krakowska) w całej szerokości swojej sklepikami i stolikami przekupek ściśniona. Przez nią główne jest przejście do trzech najważniejszych przybytków: do kościoła Farnego, do ratusza i do zamku. Gdy wszedłem w dziedziniec zamkowy, usłyszawszy odgłos własnych kroków, przez ściany czworobocznego gmachu powtórzony"...

Tak wyglądała i żyła Warszawa w końcu XVIII i początku XIX wieku.

Marian Bogacz

PIĘŚCIARZE RADZIECCY W WARSZAWIE



Wobec przeszło 30 tysięcy widzów rozegrany został 12 bm. międzypaństwowy mecz bokserski ZSRR — Polska, zainicjowany przez P.U.W.F. zakończony wynikiem 10:6 na korzyść gości.



Fot. Film Pol.

Najlepszą kondycję wśród Polaków wykazał Antkiewicz w wadze piórkowej. Na zdjęciu Kuzniecow i Antkiewicz.

POLSKI KLUB SZARADZISTÓW

W niedzielę, dnia 12 bm., w lokalu naszej Redakcji odbyło się pierwsze organizacyjne zebranie Polskiego Klubu Szaradzistów, na którem przewodniczył dr St. Kaszubski („Kasta") z Otwocka. Zebrani uchwalili reaktywować Klub i w tym celu wybrali Tymczasowy Zarząd, który zajmie się sprawą legalizacji statutu, wyszukaniem lokalu i powołaniem do życia Oddziałów i Kół w poszczególnych środowiskach. Wpisowe ustalono na zł 200, a składkę miesięczną na zł 100. Przewiduje się stworzenie specjalnych kół młodzieżowych, dla członków których składki będą znacznie niższe.

W skład Tymczasowego Zarządu weszli:

dr Kaszubski Stanisław — prezes,
Grójnacki Erazm — wice-prezes,
red. Bogacz Marian — sekretarz,
Nowicki Wiesław — zast. sekret.,
Rundsteinowa L. — skarbnik,
Miałkowski Romuald, Dzielnia Jerzy — członkowie Zarządu.

Do Komisji Rewizyjnej wybrani zostali:

mjr Sawicki Ambroży — przewodniczący,

Głowacki St., Jasiński Ludwik — członkowie.

Zgłoszenia do Polskiego Klubu Szaradzistów nadsyłać należy pod adresem: Red. Marian Bogacz — Warszawa, ul. Szpitalna 5 m. 8.